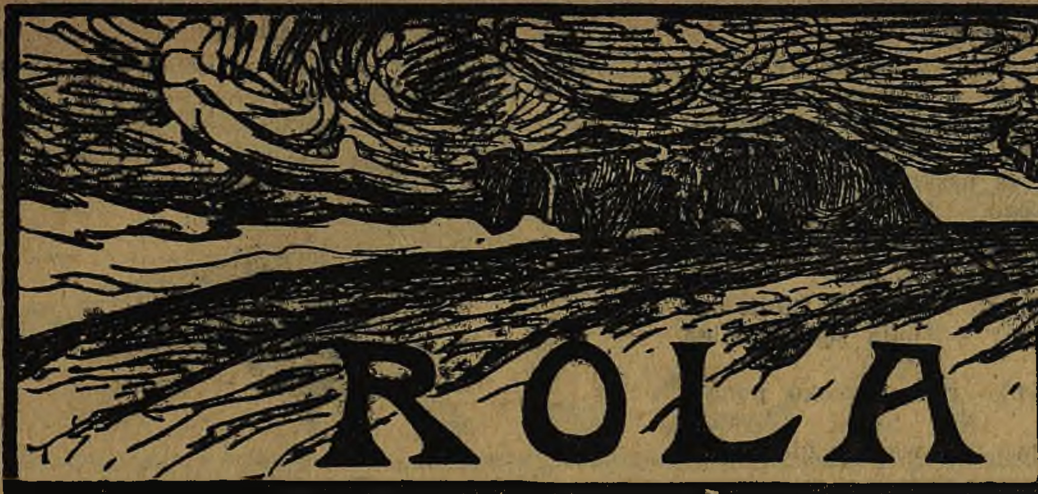
Numer 39. Należ. poczt. opł. ryczałtem. Dnia 27 Września 1931



Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Dowcipny sędzia.

Lord Birkenhead, jeden z najwybitniejszych polityków angielskich, opowiada, że gdy zajmował stanowisko sędziego, to miał do rozważenia sprawę pewnego chłopca, żądającego od towarzystwa transportowego odszkodowania za uszkodzenie ręki podczas wypadku tramwajowego.

— Pokażno — powiada sędzia do chłopca — jak wysoko możesz jeszcze podnieść rękę?

Chłopiec podniósł dłoń do wysokości ramienia.

— A przed wypadkiem? — pyta sędzia dalej spokojnie.

Chłopiec podniósł szybko rękę wysoko ponad głowę.

Oczywiście, Towarzystwo tramwajowe nie zapłaciło odszkodowania.



Troi się w oczach.

Mały Stefek siedzi z ojcem w restauracji.

— Ojczulku! — pyta — po czem poznaje się, że ktoś ma w czubku?

— Widzisz te trzy panie opodal? — powiada ojciec — jeśli będzie ci się zdawało, że ich jest sześć, to znak, że masz w czubku.

— Ależ ojczulku! — dziwi się malec.

—Tam siedzi przecież tylko jedna pani.

Na koncercie.

Mały Józio był z tatusiem na koncercie doskonałego muzyka, grającego na wiolonczeli.

Józio nudził się strasznie. W pewnej chwili mówi:

— Tatusiu! Jak ten pan przepiłuje już tę skrzynkę, to pójdziemy do domu, prawda?



W sądzie.

Podczas rozprawy sądowej posprzeczało się dwóch adwokatów między sobą, z których jeden był bardzo wysokiego wzrostu, a drugi zaś bardzo mały, nie wiele większy nad kolano pierwszego.

— Co mi pan tam gadasz! — krzyczy olbrzym — jabym pana mógł do kieszeni wsadzić!

— O, wtedy miałbyś więcej rozumu w kieszeni, jak w głowie — zawołał mały adwokat zgryźliwie.



Szczery żal.

Za trumną bogacza idzie pewien pan i płacze rzewnie.

— Dlaczego płaczesz? — pyta go znajomy. — Wszakże nie byłeś krewnym zmarłego?

— Dlatego właśnie płaczę.

Numer 39. Rok XIV. Kraków, dnia 27 Września 1931.

ROLA

Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1931: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40 zł; do Czechosłowacji rocznie 50 koron cz., półrocznie 27 kor. cz., kwartalnie 15 kor. cz.; do Francji rocznie 60 franków fr., półrocznie 30 fr., kwartalnie 15 fr. — Do Ameryki rocznie 2 i pół dolara. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji »Roli« 30 groszy

Adres na listy do Redakcji i Administracji »Roli« **Kraków, ulica św. Tomasza 32.**

Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406.381. Konto pocztowe w Czechosłowacji: Praga Poczt. Urząd Czekowy 500.868.

Rozwaga i zastanowienie.

Dzisiejszy człowiek żyje tak szybko, ma tak mało czasu pozostawionego na wglądanie wewnątrz siebie, że większość swych czynów spełnia bez należytej rozwagi. Są chwile w życiu człowieka, w których nie może być mowy o rozwadze, ale gdybyśmy się przyzwyczaili wglądać w siebie, zastanawiać się nad drobiazgami, byłoby tych chwil znacznie mniej i ostrze ich nie byłoby tak obosieczne.

Zastanawianie się i rozwaga, czynią człowieka dojrzałym i w pełni odpowiedzialnym za swe czyny. Musimy jednak nauczyć się, aby czynić to często, coraz częściej.

Zastanowienie się i rozwagę w stosunku do naszych bliźnich zamknąć można w znanem przysłowiu: „Nie czyń drugiemu, co tobie nie miłe".

Zastosowanie tego przysłowia zdaje się niemożliwem. A przecież tak nie jest. Wystarczy wstawić siebie bezstronnie w miejsce tego, komu mamy zamiar wyrządzić krzywdę, czy szukać na nim sprawiedliwości. Z początku, będzie to może dość trudne. Później jednak przyzwyczaimy się i wtedy dopiero poznamy błogie skutki tego, nic nie kosztującego systemu. Przekonamy się, że unikniemy wielu, wielu zatargów, nieprzyjemności, a znaczenie nasze i szacunek, wzrosną niepomiernie. Dla niektórych może wyda się ten system pewnem ustępstwem czynionem na rzecz równych sobie... Tak. Chwilowo będzie to ustępstwo. Ale tylko chwilowo. Jako rekompensata, pozostanie przeświadczenie wartości osobistej i zadowolenie wewnętrzne, którego niema nigdy, gdy się zaspokoi uczucie zemsty, nienawiści, zaprawionej choćby nawet pewną dozą sprawiedliwości.

Tyle pozostanie na początek. Później zaś przyjdą inne nagrody, w postaci szacunku, powagi i znaczenia.

Nie jest bowiem żadną sztuką wymusić na kimś uznanie sądem i kozą, nie jest sztuką dochodzić swego honoru w sądzie (wątpliwy honor), ale sztuką jest zdobyć uznanie swem własnem postępowaniem.

Rozwaga i zastanowienie się względem samego siebie, nie pozwoli nam na poczynienie kroków, którychbyśmy następnie żałowali!

Nie zaciągniemy długów, nie zakupimy nic potrzebnego, nie będziemy przepędzać godzin na próżnowaniu, na obmowie, bo zastanowienie wykaże nam jak na dłoni: że tego długu nie będzie z czego wypłacić, że bez tego artykułu się obejdziemy i że próżniactwo i obmowa są jeśli już nie grzeszne, to w każdym razie bezcelowe i nie przynoszące żadnego pożytku.

Człowiek, który nikogo nie obmawia, który wszystkie swe czyny wykonuje z rozwagą i zastanowieniem, zdobywa zaufanie ogółu. Mając zaś zaufanie, może budować śmiało gmach zbratania wzajemnego, może zrozumiawszy niejedną przyczynę waśni i niezgody, zażegnać niejedno groźne niebezpieczeństwo, pogodzić zwaśnionych i t. p.

Życie jest ciężką walką. Jest to pasmo trosk i udręczeń wszelkiego rodzaju, ale możnaby je o wiele uczynić znośniejszem, przy odrobinie dobrych chęci... Trzebaby jednak zrzucić pychę z serca i przestać sobie wmawiać wyższość nad swego bliźniego... Czas zaprzestać wysuwanie swego urodzenia, pochodzenia i t. p., bo zasługi naszych ojców i babek choćby najszczytniejsze i najwyższe, nie dają nam żadnych praw wyjątkowych. Nie przechodzą bowiem i nie są dziedziczne, jak nie są dziedziczne genjalne zdolności wielkich uczonych, poetów i t. p. Dalej

jeśli Król i Pan świata mógł sobie obrać za Ojca ziemskiego zwykłego cieślę i nie czuł się upokorzony, jakiemż prawem człowiek, twór lichy śmie się nad drugich wywyższać?

Musimy więc starać się opanować swe wybujałe pojęcia o wielkości własnego ja, musimy działać rozważnie i z zastanowieniem, jeżeli chcemy, aby ziemskie nasze życie stało się odrobinę znośniejsze i prościejsze! Czy aby zechcemy?

Marja Waller.

Cecora.

Powieść historyczna. (Ciąg dalszy)

Ale Mitras nie rozumiał tych słów. Zdawało mu się, że Adme pójdzie kochankowi do kolan się rzucić. Niech idzie, niech robi co chce... „byle prędko! byle prędko" — powtarzał.

Odtąd drzwi domu Ibraima zostały zaparte dla wszystkich. „Pan chory, panna chora" — odpowiadał Jarucha gościom przybywającym w odwiedziny. A oto rozeszła się wieść, że Mitras sklep zwija; aksamity, futra i altembasy za cenę kosztu sprzedaje, przedmioty galanteryjne za pół darmo, byle kupowano, byle brano tylko. Co się stało, nikt nie wiedział, ale codziennie tłum okrutny był w Mitrasowym sklepie. Opróżniały się szafy, ogołacały ściany i wkrótce pajęczyska robotę swą rozpoczęły, od okien do okien, od gzymsów do gzymsów rozsnuwając nić swoją. Wyniosłe sklepienia powiały wilgocią i pustką, na ścianach osiadła pleśń, drzwi zostały zaparte, okiennice na szruby wzięte. Jakaś katastrofa spotkała dom Mitrasów — lecz próżne były domysły ludzkie. Przed wrotami kołatka zerwana, psy potrute, cisza i śmierć zapanowały w ruchliwem tak niedawno i gwarnem domostwie. Jasinowskiemu nawet nikt drzwi nie otworzył — daremnie zachodził, pukał i szyb parę kamykiem wytłukł.

— Zaraza domowa przeszła... czy co?... — szepnął.

I odjechał do Żółkwi.

Po opuszczeniu Plichtowa przez Ibraima Mitrasa, pan Konstanty jakby odmłodzony się uczuł. Wspomnienia o Admie, ta przeszłość cała, owiana urokiem miłostek, zawaliła się nagle w głąb, w przepaść. Zdrowie ciała wróciło dawniej, teraz zdrowie duszy wracało. Wyzywał coraz częściej przed siebie obraz Halszki, czekając jeno chwili stosownej, by przy niej stanąć mógł i powiedzieć:

— Przemienienie nastąpiło zupełne... Jużem twój, najlepsza ty moja!

Teraz i rodzicom i Andzi napomknął o Halszce Jaszczołdównie. Ród zacny, powinowactwo z domem Żółkiewskich pochlebiało staremu Plichcie.

— Bierz się wasze — i waść z kniaziów idziesz. Gdy dziewka skomli, to nie odwróci się od swatów. Andziuś — nie słuchaj!... Ja mówię tak sobie, a ty zaraz uszy, jak szarak, nastawiła.

Chciał teraz Plichta do Żółkwi jechać, tembardziej, że wieść gruchnęła, iż stany koronne znowu o wojnie z Portą Otomańską zamyślają.

Dzień był niedzielny, starzy po nabożeństwie do księdza zaszli, Andzia gołębie karmiła, a pan rotmistrz w altanie bluszczowej dzikiem winem obrosłej, siedział i o Halszce dumał. Nagle posłyszał kroki ciężkie, niedźwiedzie jakieś — i głos pachołka:

— Pan rotmistrz w altanie.

Plichta nachylił się, przez plątaninę liści spojrzał i porwał się na równe nogi.

— Duchu święty! skąd waszmość tu?...

— A nie spodziewałeś się mnie, kochanieńki.

— Szymek! Szymek! — wołał Plichta, ręce do witania rozstawiając. — *Rara avis* gość taki! A pódźże, Goliacie, a siadaj, a praw — bo z szerokiego świata jechać musisz, a jam się doma zasiedział i nie wiem nic, jak tam? Skądżeś się wziął w Plichtowie? No, praw — bo ciekawość mnie żre.

— Któżby nie rad był zobaczyć ciebie po kaźni Kantemirowej, a lepiej rzec, po zmartwychwstaniu cudownem — zaśpiewał Kopyciński — gdy my już *requiem* odśpiewali, a niejeden ksiądz za duszę twoją nabożeństwo żałobne już odprawił. Ale jako widzę, to ty niejednego jeszcze Kantemira ugryziesz, a jakoś i to wkrótce może być.

— Co co?

— Niedobrze, kochanieńki mój!...

— Wojna? toć rzecz najgorsza.

— I ona może być, ale to nie to jeszcze...

— Praw-że, bo zdechnę z niecierpliwości.

— Przyjechał ja do ciebie, kochanieńki, myśląc, co i ty może ze mną do Warszawy wybierzesz się.

— Do Warszawy? a po co?

— Jaśnie wielmożny hetman pozwany został, by tłumaczenie dał z zawartych traktatów pod Buszą i Oryninem. Podkanclerzy Lipski ku wojnie gna, panowie się sierdzą, szlachta w szable brząka, a hetmanowi, kochanieńki, zarzucają, że pod Buszą i Oryninem strusił, jako to, że stary jest i lepiej mu już smakuje pierzyna, niż kulbaka. Czy ty słyszał co podobnego, kochanieńki?

— Krzyżu święty!... Żółkiewski i strach!...

— I ja tak samo krzyknął: korono cierniowa! Żółkiewski i strach?... No, cóż, kochanieńki, pojedziesz ze mną?

— Może-ż inaczej być? a kiedy wyruszym?

— Choćby zaraz, kochanieńki, a jutro to już najpóźniej, bo droga daleka.

— E! wczas przybędziem... a ciebie kiedym ułapił, to już nie puszczę tak rychło.

— Nie można, kochanieńki, nie można. A ty wiesz, co jak Litwin powie: nie można, to i Pan Jezus przekonania jego nie zmieni.

— Wiem, wiem — i kiedy jutro, to jutro!...

XIV.

W Warszawie zjazd był ogromny, zamięszanie, gwar, tłok. Przesuwały się pojazdy pańskie przez wąskie ulice miasta, pajucy rozpędzali tłum, szlachta waliła kupą, falowało rycerstwo na koniach rosłych, miecz o miecz, strzemię o strzemię dzwoniło, a niekiedy z pośród tej ciżby i wrzawy piosnka żołnierska wionęła i uśmiech niejeden pomknął ku okratowanej glorjecie kamienicy przyrożnej, gdzie róże-dziewoje na wojaków patrzyły i rumieniły się i uśmiechały i uderzały w żart.

Nie umykaj dziewko,
Przed żołnierza śpiewką,
Przez robron, poprzez suknię
Posłyszy on, jak ci stuknie
Serduszko, dziewucho!...
Nie pomoże macierz,
Ani święty pacierz,
Bo już takie przykazanie:
Że gdzie chłop — tam miłowanie —
Rady na to nie masz!...

— Oj nie masz!... — tu i tam się odzywało, a miasto grało od pobrzęku szabel, jarzyło się od ozaplich piór brylantami spiętych, świeciło od strojów papuzich, od tententu kopyt i od rozmów ludzkich huczało.

Na rynku ciżba, ulice wszystkie przez tłum pieszy i konny zalane; z otworzystych drzwi piwnic dolatywały śmiechy i gwar za wesoły, niejedna przekupka nad potłuczonymi garnkami zawodziła, na które niezdara jakiś się wpakował i szkodę babie wyrządził.

— Bodajcie zaraza morowa!... — biegło życzenie skrzywdzonej, ale tymczasem czerepy garnków trzeszczały pod stopami przechodniów.

Nie łatwo było przy zamięszaniu takiem a ścisku dowiedzieć się o kniaziu Koreckim, z którym Plichta zobaczyć się chciał. Dowiedział się jednak i wieczorem tego samego dnia, w którym do stolicy przybył, wpadł do mieszkania pana Samuela.

— Ha — jesteś! — odezwał się kniaź.

— Co słychać?

— Jutro pan Żółkiewski sprawę zda przed stanami rzeczypospolitej.

— To niegodne!

— Co ty tam wiesz!...

— Moskwa — Kałuszyn!...

— Busza — Orynin! — dokończył kniaź.

— I czego od niego chcą?...

— Przywrócenia honoru rzeczypospolitej.

— Ku wojnie z Turkami gnacie?

— Waść jako widzę, nie rad już z Kantemirem się spotkać.

— Kniaziu! — rzekł dumnie Plichta.

— Ano — żart!... ale stary w pierzyny niech idzie, nie przewodzi nam.

— Znów zawarcholiło kozactwo?

— Postaraliśmy się.

— Kat wie, czy rzeczpospolita przy takiem staraniu się waszem, strzyma.

— Jak ty mi śpiewasz dzisia?

— Jako słyszysz.

— Ochłódła już krew w waści.

— Ale rozum rozgrzał się...

Plichta pożegnał kniazia i na miasto wyruszył.

Gdzie jeno się obrócił, z kim się był spotkał — wszędzie sarkanie słyszał, szemranie i niezadowolenie ogólne. Góra przewinień waliła się na głowę starego hetmana, że Multany stracił, rzeczpospolitą w jeństwo sułtanowi podał, kozaków nie ukrócił, do pochwy szablę tchórzliwie schował. Milczał jeno król Zygmunt i aczkolwiek sądowi niechętny był, musiał zadość woli narodu uczynić i stany zawezwać, by rozpatrzyły wodza starego przewinienia. Najwięcej warcholił imć pan podkanclerzy Lipski, który wojowniczego ducha będąc, dążył do zerwania traktatów z Turcją i był za wojny wypowiedzeniem. Pobrzękiwali mu w rytm panowie Sieniawscy, Zborowscy i Kalinowscy, a każdemu świeciła w nos buława wielka, wydęta bańka próżności i pychy.

Sejmowe komnaty zamku królewskiego wypełniły się z pierwszym brzaskiem dnia niemal. Na tronie usiadł król w szat czerni, z łańcuchem Złotego Runa na szyi, poważny, blady, godnie reprezentujący majestat wielkiego państwa. Na krzesłach, otaczających tron, senatorowie usiedli, na ławach posłowie ziem różnych a i kupa szlachty znalazła się na galerjach izby sejmowej. Wykwitła i główka niewieścia, patrząca z loży górnej na ono zebranie narodu — lecz oczy wszystkich zwrócone były na siwizną okrytą głowę Żółkiewskiego, który blisko tronu, pomiędzy senatorami siedział, prawicą o złotą buławę się wspierał i ze spokojem czekał głosów potępienia. I oto ozwał się głos pierwszy, zarzucający hetmanowi, że stanów rzeczypospolitej nie zawiadomił o zbliżającej się burzy tureckiej, że bez niczyjego pozwoleństwa traktat buszański podpisał; że pod Oryninem czas zmarnował, tknięty bojaźnią, nie licującą z godnością wodza i żołnierza odwagą. I posypały się głosy innych jeszcze oskarżeń, jak grom uderzając w pierś hetmana... Wreszcie burza umilkła — marszałek laską dał znak. Nastąpiła cisza — hetman powstał. Oczy wszystkich skierowały się na pana Żółkiewskiego, a on do króla się zwrócił i tak począł:

— „Jak z młodych lat, miłościwy panie mój, nauczyłem się szanować w. kr. mość, zwierzchność moją i pomazańca bożego, tak i dziś, acz w podeszłych już leciech, nie inaczej czynić będę, jeno jako wierny w. kr. m. poddany.

,Zwykłem to czynić, najjaś. miłoś. królu, żem na sejmie, gdziem przed majestatem w. k. m. całą rzeczpospolitą zebraną widzieć nawykł, dawał sprawę z urzędu, który mi z szafunku w. k. m. jest powierzony. Tembardziej dzisiaj tej powinności zadość czynić muszę, gdy... tyle skarg słyszę i zarzutów przykrych. Ani tego zataję, że bolesnemi zaskarżenia te byłyby dla mnie, gdyby się na prawdzie wspierały; bolesną nawet byłaby obmowa, gdybym nie pomniał, że to jest prawych mężów losem powszechnym, od złych ludzi być szarpanymi. Nie uszli tego dawni i późniejsi wodzowie, ja jeden miałżem być od nich szczęśliwszy?

,Boga, badacza serc ludzkich i ciebie królu mój miłościwy, za świadka biorę: omieszkałżem że wcześnie uwiadomić o grożących nam zamysłach państw ościennych? Nie doniosłemże i świeżymi teraz listami... że na walnej Dywanu radzie uradzono całą potęgę wywrzeć na Polskę naszą? I te doniesienia i com kiedy tylko z nad granicy pisywał, poszło to wszystko w posłuch ludzki; wydawano listy moje z kancelarji w. kr. m., aby lud cały wiedział, co nieprzyjaciele na państwo waszej kr. m. knowali i aby tem samem każdy gotował się do obrony. Dlaczego dziś mnie pytają o to, co wszystkim wiadomem było?...

Szmer słyszę — a w onym szmerze nazwę dwóch miast: Busza! Orynin!..."

Umilkł na chwilę. Król Zygmunt lekko poruszył się na tronie — w piersi tłumów dech zaparł się... Co hetman znajdzie na usprawiedliwenie swoje z onych traktatów zawartych?... Żółkiewski pochylił się przed królem i tak rzekł:

„Azali nie mam listów w. kr. mości? zali nie stało się wszystko wedle nauki przez w. kr. m. mnie danej? Azali to, com pod Oryninem uczynił, nie uczyniłem-że z rozkazania miłości waszej, króla mego i pana, bez którego woli i wiadomości, jak jestem na tym urzędzie, nic nigdy nie uczyniłem?...

Chwila ciszy. Szmer powiał:

— Spełnił rozkaz królewski!

— Wolę pana.

— Nie tako Wiśniowieccy i Koreccy, którzy dla hospodarstwa krajby zgubili.

Kniaź drgnął — ale dały się słyszeć wołania:

— Słuchajcie! słuchajcie!... hetman mówi!

Żółkiewski tak rzecz prowadził:

„Zarzucają mi, żem był nieśmiały, niedbały w powinności swej, nieczuły. Jakżeż! ja nie czuły,

gdym pierwszy o wszystkich krokach nieprzyjacielskich w. kr. m. przestrzegał? Ja niedbały, gdym sam tabory zataczał i obozy wytykał? Ja nieśmiały? niech to powiedzą ci, co ze mną byli w Moskwie i pod Kałuszynem? Tu tedy najjaśniejszy, miłościwy królu jest pole, tu miejsce, aby mię każdy śmiele w oczy w sprawach moich winował: dostoję mu kroku bez pozwów i mandatów".

Głowę uniósł. Potężna postać hetmana zda się urosła nad tłum. Dumnym wzrokiem potoczył dokoła, jakby mówił: „Stań tu — który przeciwko mnie jesteś!..." Ale nie odpowiedział już nikt. Tedy Żółkiewski do tronu się zbliżył i temi słowy mowę swoją zakończył:

„Rzetelnie sprawę z czynów mych zdałem, niech według nich zgromadzone tu stany sądzą mnie. Ufam miłościwy królu, iż w. kr. m. pańskim rozsądkiem, nie uznając mnie występnym, uznać atoli raczysz, jako mnie już na latach, a co więcej na siłach i zdrowiu szkodzi. Takem się już schylił do ziemi, że mię więcej na żadne usługi rzeczpospolita mieć nie może. Czas naprawdę, abym przed śmiercią, w tej chwili zeszłości mojej, użył wytchnienia; abym wypoczął po trudach tylu i po tylu cierpieniach od zelżywych języków.

Duch nieboszczki babki.

(Humoreska).

Będąc małym, lubiłem bardzo słuchać opowiadań o strachach i duchach zjawiających się szczególnie nocą, ku utrapieniu różnych ludzi. Nic więc dziwnego, że nasłuchawszy się takich opowiadań, gdy tylko mrok zapadał, drżałem na całem ciele, dopóki nie zapalono lampy. Później jednak, gdy z latami przyszedł rozum, śmiałem się sam z dziecinnych urojeń.

A jednak i ja w swem życiu miałem się spotkać z jednym z tych duchów, o których tyle się nasłuchałem.

Było to nie dawniej, jak przed rokiem. Znaglony jakimś pilnym interesem, wyjechałem pewnego wieczora do Krakowa tak, że na miejsce przyjechałem dopiero około dziesiątej godziny, więc musiałem sobie poszukać gdzieś jakiegoś noclegu, a dopiero w dzień iść na miasto w celu załatwienia interesu. Ale jakgdyby na utrapienie, nigdzie nie mogłem skłonić skołatanej głowy. Gdzie tylko udałem się, wszędzie miejsca były zajęte. Już myślałem, że resztę nocy przyjdzie mi spędzić na ławce na plantach. Byłbym to chętnie uczynił, gdyby nie zimowa pora i obawa przed okradzeniem. Schodziłem tak więc całe miasto, aż nareszcie znalazłem to, czego szukałem.

Wprawdzie niewygodny to był lokal, gdzieś w samym środku Kaźmierza, brudny i niechlujny, ale przecież nie miałem tam przebywać więcej, jak tylko tę jedną noc. Byłem tak znużony, że wkrótce zasnąłem snem sprawiedliwego.

Jak długo spałem, nie wiedziałem, ale przebudzenie było okropne!... Obok mego łóżka stał nikt inny, tylko duch mej nieboszczki babci. Chciałem się zerwać z łóżka, uciekać, krzyczeć, lecz tak nogi, jak i usta odmawiały posłuszeństwa. Wytężyłem tylko słuch i postanowiłem czekać cierpliwie na to, co się stanie.

Teraz usłyszałem najwyraźniej ciche stąpanie wprost do mojego łóżka. Trząsłem się cały od śmiertelnego strachu. Nareszcie zdołałem wyszeptać:

— Czy to ty, kochana babciu?...

Nie myliłem się. Tak to ona była, a właściwie duch jej, gdyż usłyszałem odpowiedź:

— Tak, tak, tak...

— A do djabła, — pomyślałem — będę się miał teraz z pyszna, skoro babka aż z piekła (jak przypuszczałem) fatygowała się, aby mię odwiedzić. Wszak za życia nigdy nie dała mi dobrego słowa, tylko zrzędziła i wymyślała. Ale i ja zawsze jakieś psoty jej robiłem, przecież ani na myśl mi nigdy nie przyszło, ażeby kiedyś po śmierci mogła mnie odwiedzić. Jeżeli już to zrobiła, to chyba nie dlatego, ażeby mi sprawić przyjemność. Chcąc ją więc chociaż grzecznością trochę udobruchać, pytałem jaknajczulej:

— Czy kochana babcia przyszła mię odwiedzić?

I znów usłyszałem potwierdzające: „Tak", a zaraz potem kilka kroków w kierunku mego łóżka.

— Będzie źle! — pomyślałem...

— Babciuniu kochana! Wszak sobie babcia przypomina, jak ją za życia kochałem, a że tam czasem jakiś figielek się zrobiło w młodych latach, to babcia to napewno wszystko wyrozumie: „młodość, płochość..." Dziś życie dałbym za babcię...

I znów dało się słyszeć owo nieszczęsne: „Tak, tak!"

Ja coraz bardziej się bałem, gdyż ani jednego słowa rozsądnego od babci nie usłyszałem, tylko owo potwierdzające „Tak". Widocznie zgóry już była przygotowana na coś, co mnie spotkać miało, o czem ja nie wiedziałem, ani czego nawet domyślić się nie mogłem. Rozgniewany, już miałem porwać but, albo jaki inny przedmiot, i rzucić nim z całej siły w niemiłą postać babciuni, ale rozsądek kazał mi się powstrzymać od tego, gdyż czynu tego mógłbym później żałować. Postanowiłem więc wyzyskać wszystkie sposoby, zanim porwę się na czyn ostateczny.

— Babciuniu, — powiadam więc — czyż nie lepiejby było leżeć tam gdzieś na cichem ustroniu cmentarnem, jak trudzić się po nocy i to w takie miejsce, jak tu... Jeszcze babciunię żydzi na mace gotowi porwać. Możeby już babcia poszła sobie.

— Babciu, odzywajcież się, bo inaczej to mię djabli porwią. Nie zniosę tej tajemniczości! Przecież nie przypuszczasz, żebym był tchórzem i bał się ciebie!...

I znów dało się słyszeć owo szydercze: „Tak, tak!"

Tego było mi już zadużo. Ostatnim wysiłkiem zrzuciłem z siebie kołdrę i wyskoczyłem z łóżka. Babcia uciekła przedemną, rzuciła się w tył, a biała jej postać wcisnęła się w kąt poza piecem. Ja wtenczas dopiero nabrałem odwagi, zrozumiałem w tym momencie, że mam przewagę nad babkę. Porwałem więc szybko opartą o krzesło laskę i pobiegłem w stronę ukrywającego się ducha babki, i ślepo począłem wymierzać poza piec jak najcelniejsze razy. Zpoza pieca dał się tym razem słyszeć coraz szybszy i donioślejszy głos: „Tak, tak, tak, tak..." a następnie na środek pokoju z trzepotem i krzykiem wyskoczyła najzwyklejsza kaczka, którą, jak dowiedziałem się później, właściciel hotelu przechowywał tutaj na siabes.

Tak się skończyła cała historja z duchem mojej babci, a innego ducha w swojem życiu już nigdy nie spotkałem.

Stanisław Jucha.

Tragedja powstania listopadowego.



Sto lat właśnie ubiega, kiedy to praojcowie nasi w tak zwanym powstaniu listopadowem chcieli się wybić z pod niewoli moskiewskiej. Niestety, chwytając wówczas za broń, ani nie przypuszczali, że dopiero za sto lat będziemy ich wiekopomny poryw obchodzić w wolnej Ojczyźnie.

Powstanie listopadowe nie miało powodzenia, gdyż na czele jego stali ludzie, którzy nie dorośli do swego zadania. A garść prawdziwych bohaterów nie mogła opanować sytuacji, gdy dowództwo nie dopisało. Do najjaśniejszych postaci owego powstania należy bezsprzecznie generał Józef Longin Sowiński. Waleczny żołnierz Napoleoński, pomimo że pod Możajskiem stracił nogę, służył on dalej sprawie ojczystej i zginął bohaterską śmiercią na Woli pod Warszawą dnia 6 września 1831 roku. Kiedy wojska rosyjskie wdarły się na szaniec reduty polskiej, w której broniła się załoga pod wodzą generała Sowińskiego, rozpoczął się bój straszliwy w ogrodzie i około kościoła. Najdłużej wytrwał Sowiński z czterema kompanjami, zapędzony w kąt na wałach i otoczony z trzech stron przez nieprzyjaciół. Napróżno jednak oficer rosyjski wzywał go do złożenia broni. „Ognia do ostatniego ładunku!“ — zawołał starzec, poczem ugodzony kilka razy bagnetem pochylił się bezwładny na stojącą obok armatę i legł śmiercią bohatera.



Chwilę tę przedstawia właśnie nasz pierwszy obrazek, na drugim natomiast widzimy straszną rzeź ludności polskiej przez Moskali na ulicach Pragi, będącej częścią Warszawy. Oto rozszalała dzicz moskiewska nie walczy już z wojskiem polskiem, którego tam nie było, ale morduje niewinną ludność cywilną, dopuszczając się najstraszniejszych okrucieństw. Widzimy, jak jeden z Moskali tnie małe dziecko szablą, a inny nabił chłopczyka na pikę i cieszy się tem, jakby jakiego bohaterskiego czynu dokonał. Krew ścina się w żyłach na samo wspomnienie owych strasznych chwil, a na myśl przychodzi ta prawda, że Pan Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy; sto lat nie upłynęło, a jakżeż strasznie pokarał On naród rosyjski!





MACIEK BZDURA GADA:

Powiadają, ze Moskale to głupi naród, a przecie i oni potrafią casem coś takiego wyśtuderować, ze się z tego uśmiać mozna. Wkiejsik zwołał nas nas prefesur do skoły i powiada, jeśli wiedzieć chcecie, skąd się wzięły zydy, to wam to powiem, gdyz wycytałem o tem w jednej rosyjskiej gazycie.

Zrazu nie chciało mi się iść na to gadanie, bom przecie wiedział, ze Hadam w raju był zydem i ze go Poniezus z piachu ulepił, to cóz mi tam prefesur za nowinę miał powiedzieć. Ale myślę se, ze casem i najgłupsego warto posłuchać, tak posedem.

A prefesur, rozłozywsy na stole jakąsik skrypturkę, tak powiada:

— Mam tu przed sobą taką rosyjską gadkę o stworzeniu zyda, ino juz na katolicką mowę przetłumaconą, to jak chcecie, to posłuchajcie.

I nie cekając, cy kto chce, cy nie chce słuchać, tak zacął cytać:

— Wie o tem ludzkie plemię, jak Pan Bóg stworzył ziemię, a chcąc zakończyć pracę gładką, stworzył człowieka na ostatku. Gdy widział, że się Adam nudzi (ponieważ był to pierwszy z ludzi), we śnie mu wyjął żebro lewe i stworzył zeń kobietę: Ewę.

Widząc to djabeł, wróg ludzkości, na Boskie twory pełen złości, w swej podłej duszy przyrzekł sobie: „Ja też to samo dobrze zrobię!“ Więc usiadł, łapą podparł szczękę i chciał wymyślić ludziom mękę. Bo czyż kto wątpi jeszcze teraz, że djabeł świństwo zrobił nieraz? Przez niego prababka Ewa z zakazanego rwała drzewa owoce, które jadła sama i nakarmiła też Adama. Wziął djabeł żabę, serce wilka, dołożył pieprzu funtów kilka, cebulę, czosnek, ogon lisi, tuzin pijawek, pomiot mysi i rzekł: „Jeżeli chcę coś stworzyć, to muszę wszystko w kocioł włożyć i pracy swej nie pożałować, starannie bardzo ugotować...“ Sto lat gotował bez ustanku, aż wreszcie pewnego ranku u djabła była kwaśna mina, bo ujrzał w kotle Ormianina. Więc krzyknął: „Wyłaź przyjacielu! Czekałem na cię od lat wielu i mam dla ciebie moc roboty: będziecie darli z Turkiem koty!“

A potem westchnął i rzekł z żalem: „Nie to mi wyszło, co ja chciałem. Takiego muszę ugotować, żeby mógł djabła zakasować!“ To mówiąc, bardzo się nasrożył i znów do kotła zaraz włożył to, co wpierw było w dozach równych i dodał siedm grzechów głównych, piekielnej sadzy dwie bryły, najgorsze świństwa, jakie były. Wymieszał w kotle to łopatą, a potem z wierzchu napluł na to, pokrywą nakrył należycie i rzekł: „Teraz pójdzie znakomicie!“ Pod kotłem ogień naszykował i jeszcze trzysta lat gotował.

Nareszcie w kotle coś się tłoczy, dym wali djabłu prosto w oczy i smród na okolicę całą. (Stworzenie wszelkie pozdychało, pożółkła trawa, zwiędły liście). Djabeł roześmiał się siarczyście: „Tutaj mych trudów dowód żywy!“ To powiedziawszy, zdjął pokrzywy, lecz cofnął się o kroków parę, sam oczom swym nie dając wiary. Nawet z początku się przeraził, bo z kotła rudy żyd wyłaził.

Z ogromnym piskiem, krzykiem, wrzaskiem wylazł i stał pod ognia blaskiem, w jarmułce, z pejsami i w chałacie... Do djabła rzekł: „Git Morgen tacie!“

Ten, gdy usłyszał żargon taki, żyda w pazurów porwał haki, całować począł w kłaki brody: „Podobnyś, jak dwie krople wody!“

Tymczasem żydek, kuta wyga, w koło kręci się, jak fryga, chciałby coś kupić... no i znagła targować począł ogon djabła, mówiąc półserjo, a pół w żarty, że ogon djabła jest wytarty, że mu nieładnie, niewygodnie, że go jest trudno schować w spodnie, że objedzony jest przez mole. A potem dodał bardzo czule, że nawet wszystkie wielkie damy przestały chodzić z ogonami. I tak tem wszystkiem go ogłupił, że na ostatku ogon kupił.

Djabeł z radości zatarł ręce i rzekł: „Godnego mam zastępcę. Do piekła wracam pędzić życie, żyd mnie wyręczy znakomicie!“

Tymczasem żyd zadowolony ogonem kręci na wsze strony. Otworzył wnet lombardy, banki, sprzedawał złote, dolary i franki, przyjmował w zastaw różne rzeczy (miał spryt, sam djabeł nie zaprzeczy), do usług był niezwłocznie, procenty brał sto na sto rocznie, a nigdy nie miał strat, coś, jak krakowski Magistrat. Zorganizował dużo szajek ze samych Icków, Srulów, Chajek. (To wszystko tak się z pieprzu rodzi: jeden umiera, stu się rodzi). Tu żadna rada się nie przyda: gdzie człowiek spojrzy, widzi żyda; chałaty wszędzie tak migają, jak pchły na psach pod koniec maja.

PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

Hercegowina I.



Ogólny widok Mostaru.

Jednym z krajów, odziedziczonych przez Jugosławję po upadku Austrji w czasie wojny światowej, jest Hercegowina. Kraj ten, zamieszkały przez Serbów, tworzył w IX wieku udzielne księstwo. Później należał to do Kroacji, to do Bośni. I znów w r. 1440 została Hercegowina podniesiona do godności samodzielnego księstwa przez Fryderyka III i oddana w lenno rodzinie Hraniczów. W r. 1483 dostała się pod panowanie Turków i pozostawała pod niem aż do roku 1878. Ruch powstańczy ludności chrześcijańskiej w 1875 roku w Hercegowinie, a po części i w Bośni doprowadził oba kraje do tego, że w 1875 roku w Hercegowinie, a po części i w Bośni doprowadził oba kraje do tego, że w 1878 roku na kongresie berlińskim przyznano je Austro-Węgrom, pod których zarządem pozostawały aż do ostatnich czasów.

Las przykrywa połowę obszaru Bośni i Hercegowiny. Są przeto te kraje najbardziej lesistymi krajami w Europie. Wysokopienne lasy buków, dębów i jodeł przykrywają wyższe miejsca, natomiast niższe porastają krzaki. Stolicą kraju jest miasto Mostar. Samo miasto ma cechę ściśle orjentalną. Muzułmańska wiara i obyczaj przeważają nad katolickiem i prawosławnem wyznaniem i życiem. Pomimo, że w Hercegowinie drzewa nie brak, budowle Mostaru są przeważnie z kamienia. Kamień zaś, jak wiadomo, jest niełatwy do obrobienia, rysunek zatem całości, złożonej z niepodatnych głazów, wymaga więcej dokładności, niż drewniane i ceglane gmachy, gdzie zawsze belkę przykroić, odciąć czy przysztukować, kawałek odłupać lub nadłożyć nie trudno.



Rzymski most.

Najważniejszą osobliwością Mostaru jest słynny Rzymski most, od którego miasto wzięło nazwę i nad którym wznosił się swojego czasu gród, wspominany w średniowiecznych kronikach, jako »Castelli ał poste di Narenta«. Jednym potężnym łukiem okracza on spadziste łożysko rzeki i przedstawia doskonale typ mostów, rozpowszechnionych na całym Wschodzie, różniących się od polskich tem, że niema w nich dziur. Jest on jednak



Scena uliczna w Mostarze.

tak wąski i garbaty, że przejechać nim nie można, służy przeto tylko pieszym za kładkę. Po obu brzegach stare baszty stoją do dziś dnia na straży. Wśród grubych murów przechowują się tam prochy i kartacze załogi, a we framugach gnieżdżą się sowy i nietoperze. — »Rzymski most« jest najprawdopodobniej pomnikiem tureckich, czyli stosunkowo niedawnych czasów. Świadczy o tem naocznie jeszcze czytelny napis.

Ciekawe w Mostarze są te zapylone, ciche zaułki i domy bez okien na zewnątrz, ludzie i zwierzęta juczne, odpoczywające o południowej porze po znoju w cieniu murów. Życie i ruch miejski przypominają potrosze Włochy, a potrosze Ziemię obiecaną, jak się ją zna z pierwszej książki, którą się miało w rękach: z historji świętej z obrazkami.

Hercegowiec, leżący niedbale, zda się neapolitańskim lazzaronim; białobrody starzec, pojący u studni osiołka, na którym siedzi młode dziewczę, otulone w białą, nawpół przeźroczystą chustę, toż to istny, żywy obraz „Ucieczki do Egiptu“.

Latem wre życie na ulicy do późnej nocy. W skwarnych południowych godzinach wszyscy układają się do snu, natomiast wieczorem ożywiają się stragany, kawiarnie a na przechadzkę wylęga cała ludność bez różnicy stanów i zawodów. Koło północy dopiero cichnie gwar i ruch ustaje. Na opustoszałych chodnikach rozlega się tylko miarowe stąpanie straży bezpieczeństwa, albo głuchy stuk drewnianych trepek jakiej tureckiej jejmości, wracającej do domu z przydługich odwiedzin u przyjaciółek i poprzedzanej przez wyrostków z papierowemi latarniami, na kształt lampjonów, do oświecania drogi. Niespodzianie zalatuje przechodnia woń śliwowicy i równocześnie dolatuje go przyciszonym głosem śpiewana tęskna duma z przygrywką bardzo prymitywnej gęśli. To Serbowie pędzą pod gołem niebem wódkę ze śliwek.

Cudowna, pogodna noc daje „z gwiazd myślom łoże i posłanie“; zmysł spostrzegawczy, natężona ciekawość i ruchliwość, które wymagają jaskrawego oświetlenia, zasypiają w duszy; natomiast na kształt mlecznych oparów wznoszą się marzenia, obejmują tonące w półmroku przedmioty, nadają im kształty od rzeczywistych odmienne, aż w tem romantycznemu nastrojowi odpowiada najromantyczniejszy z widoków, rzeczywistość zamieniona w sielankę, w sen nocy letniej, w poetyczne widziadło. W wąskiej, miesięcznym światłem zalanej ulicy stoi młody chłopak, owinięty w fałdzisty płaszcz, czy burnus; kaptur opadł mu na ramiona, fez zsunął się na tył głowy, na białem tle wapiennego muru odcina się wytworny profil, orli nos, łuk ciemnych brwi i junaka młodzieńczy jeszcze wąsik. Zakochany i rozogniony wzrok biegnie w górę do okienka, którego firanka na pół uchylona ukrywa w półmroku różane lica i hożą postać panięcia, córki jakiego bega lub agi. Najlżejszy szelest płoszy kochanków, przerywa duet szeptów i westchnień, przerywa nieraz na całe dwadzieścia cztery godzin.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Wiersz o pasterzu grającym.

O świcie se krowe zyne,
haj, u grusy se poskubie —
jo se siende z fujarzynom
groł bede jak umie.

Choć-em bosy, choć-em bidny
źle mi znów-ta nie jes —
bo mom w dusy jasne widno,
co sie zymnom śmieje.

O gruske sie cicho opre
i groł bede piknie —
różne śpiwki smyntne, sopne
com do nich przywyknół.

Jak sie zmynce to se wyjme
z kaboty kus placka;
znów śpiwki o świntym Jacku
abo te pasyjne.

Haj ku polom, ku tym ścirniom
śpiwanie mi zniko —
tak sie z bólem rozobsyrnio,
jak na świecie nikaj.

Spotkoł mie tu roz pon z miasta
spodobołem mu sie,
porocół mie gorzciom ciostek
i posed bo musioł.

Wnet juz, pono, bedzie jesiń —
wiater sie rozżolół,
smrecki sie gnom śmyśnie w lesie
i mie tyz coś boli.

Teroz-em z łysulom wysed,
óna se-ta skubie —
jo z fujarkom siodem w cisy
i grom se, jak umie.

Józef Andrzej Frasik.

REC.

Dzwon na Anioł Pański.

Nowela.

Drążkowa tymczasem zbierała po ścierni kłoska.

Wreszcie przyśniło się jej, że jest u siebie w Siedliskach. Siedzi w izbie przy stole i szepcze pacierze za spokój dusz zmarłych, gdy nagle otwierają się drzwi i do środka wchodzi jakiś mężczyzna w długim po kostki, czarnym płaszczu i czarnym kapturze na głowie. Mężczyzna ów zapytał:

— Tu siedzi gdowa Brożkowo?

— Tak, tu.

— To dobrze — rzekł i usiadł na progu izbianym.



...przynieśli, obitą czarnym kirem trumnę. Postawili ją na środku izby...

Po chwili wchodzi drugi taki sam mężczyzna i znów pyta:

— Cy to dom ty gdowy po Brożku, co ji córka zmarła?

— Tak, to mój dom.

— To dobrze — mruknął ów drugi mężczyzna i stanął przy oknie.

Następnie przyszedł trzeci i czwarty, a każdy w czarnym płaszczu i czarnym kapturze i z tem samem pytaniem.

Porwał ją strach, czuje, że drży cała, jak liść osiki, lecz milczy i czeka, co będzie dalej.

Niedługo nadeszło znów czterech, podobnych mężczyzn, lecz ci przynieśli, obitą czarnym kirem trumnę. Postawili ją na środku izby, a tam mężczyzna, co to napierwszy przyszedł, powiada do Brożkowej:

— Stanij se za trumnom, pódziesz z nami.

Ścierpła na niej skóra, ale pchnięta jakąś przemożną mocą, uczyniła, co rozkazał. Ci czterej mężczyźni, którzy przynieśli byli trumnę, wzięli ją z powrotem na barki. Dwóch z pozostałych ustawiło się na przedzie, dwóch za Brożkową z tyłu i ruszyli do drzwi.

Na polu czekała na nich nieprzeliczona ilość zakapturzonych postaci. Zadrżała Brożkowa, kiedy rzuciła na nie okiem: każda z tajemniczych postaci dzierżyła w dłoni kamień. Jedna mniejszy, druga większy, a te na samym przedzie, dźwigały prawdziwe już głazy.

— Co to wszystko znacy?... Co oni ze mnom zrobio? — zatrwożyła się Brożkowa.

Ale nie miała czasu zastanawiać się dłużej, bo ci dwaj, którzy szli za nią, napierali ją zlekka, by postępowała za trumną.

Cały ten dziwaczny, zapewne pogrzebowy orszak wolno i zrazu w milczeniu posuwał się naprzód. Wnet jednak zaintonowali ci, którzy szli przed trumną ponurą i smętną pieśń. Podchwyciła ją rzesza czarnych kapturów, więc popłynęła okropna, dreszczem przejmująca melodja.

— Dzie jo ide i co to za ćma! — zapytała w największem przerażeniu Brożkowa.

— Za własnym pogrzebem, a ci — to twój łorszok żałobny — rzekł jeden z zakapturzonych. — Prosiłaś o śmierć, więc sie ji wkrótce dockosz.

— Jezu Nazareński! — krzyknęła Brożkowa — puście mnie!

Postępujący za nią ujęli ją pod ręce. Dygotała jak w febrze, owładnął nią obłędny strach....

— Kaminie!... Na co te kaminie?!!...

— To twoje grzychy, przywalimy cie niemi.

— Chryste!...

Leżeć bedziesz pod niemi i cierpieć bedziesz, póki ich nie skruszy mróz i nie spłucze słota.

— Jezusie!!...

Co większy kamień, to cięższy grzych.

— Matko Najświętsza, Panienko Przenajsłodsza, wstaw się za mnom do Syna Swego Boskiego i ratuj mnie grzyszno, nie łopuszczaj mnie w godzine śmierci!

— Chciałaś umrzyć, nie odpokutowawsy za grzychy całego życio, umrzesz i pokutować bedziesz na tamtym świecie. Odcierpisz to, coś tu miała odcierpieć i to, co cie tam cekało.

Ugięły się pod Brożkową kolana i pot jej zimny wystąpił na czoło. Z wiarą najgłębszą i przejściem serdecznem zakrzyknęła, wznosząc oczy ku niebu:

— Matko, Matko, Matko najlepsza broń Twoje grzeszne dziecko!!

Wtem ozwał się gdzieś dzwon na Anioł Pański. Głos jego czysty, jasny, niby uśmiech dziecka. Głos miękki i ciepły, jak ręka matki, która gładzi płową główkę syna. Głos ten, tchnący anielską słodyczą, brzmiał niby niebiańska muzyka. Gromady zakapturzonych postaci zakołysały się, jak trzcina za podmuchem wiatru, rozpierzchły się na wszystkie strony i znikły, jakby się zapadły pod ziemię. — Brożkowa ogląda się, patrzy — niema nikogo. Umilkł śpiew, przepadła gdzieś trumna, ani śladu z przerażającego orszaku pogrzebowego... Aaach!... Obudziła się. Był słoneczny ranek. Przez otwarte okno dolatywał brzęk ostrzonej przez Drążka kosy.

III.

Nadeszły żniwa.

Szemrzące na wietrze łany dojrzałego żyta czekały na sierpy, na kosy, a i przepiórki wołały od świtu do nocy: „pójdźcie żąć, pójdźcie żąc“, więc ten i ów stawał z rannym brzaskiem na zagonie i brał się do pracy. — Słońce paliło niemiłosiernie, ale nikt na to nie zważał. Sięgnął niektóry po naczynie z wodą, otarł rękawem koszuli kroplisty pot z czoła, oglądnął się za siebie, ile już ubyło i znowu puszczał ostre kosy w gęstwę zboża, że jeno słychać było równe „ciach,ciach“ i szelest osuwających się kłosów.

Pracowano gorliwie, nie leniąc się i nie ociągając. Każdy starał się wykorzystać czas ślicznej pogody i pospieszał ze żniwem. Wyrastały na wyłysiałych polach szeregi kóp, skrzętnie liczonych przez

gospodarzy i mieszczących w sobie wszystkie ich nadzieje.

Drążkowie uporali się ze żniwem u siebie w jednym dniu. Rano zaczęli, na wieczór już był koniec. Niewiele-ta tego mieli, więc ukończyli robotę za jednym zachodem.

— No, to my żyto wyżnyli, jeszcze nom kiedy dziń zyjdzie koło pszenicę — rzekł Drążek wieczorem, zasadzając chochół na ostatni mendel. — Policz-no, matka, wiela my to nażnyli.

— Ano, jest łosiemnaście mendeli i pięć snopków.

— Łyńskiego roku było wiency.

— Bo sie wiency posioło. Ale nie bój sie! Teroz mnij nie namłócisz, niż tamtego roku. Tero żyto piekne, kłósia nabite ziorkami, jak sie patrzy. Żeby tylko chciało wyschnąć, bo sie mi widzi, że na jutro pogoda niepewno.

Oglądnęła się dokoła, spozierając po niebie.

— Łono może dyszcza nie bedzie — rzekł Drążek. — Jakby sie tak wiater ruszuł, toby roz dwa wyschło. Możnaby go pojutrze zwozić.

— Co ty godosz, bajico?! — jo nie chce. Żyto jeszcze surowe, słoma jak chręść, ziorka mokre i bede sie spieszyć ze zwózkom. Niech dobrze wyschnie w mendelach, to i do młocki bedzie lepsze, i w pace mi nie zatęchnie.

— No tak, tak, to jo tyż nic nie mówie, bedzie sie widziało — rzekł Drążek, siadając na miedzy. Podparł się ręką i utonął w jakiejś medytacji.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wdzięczność.

(Bajka)

Uzbierawszy sporą wiązkę chrustu, powracał pewnego razu około południa, pogwizdując wesoło, nie stary jeszcze chłop do domu. Droga wypadała mu obok skały, z wydrążonemi w niej szczelinami. Gdy mimo niej przechodził, usłyszał jakieś dziwne, nieludzkie jęki, wydobywające się gdzieś z wnętrza skały. Idąc w stronę, skąd jęki się dobywały, doszedł do szczeliny, w której znajdował się uwięziony w swej kryjówce, wskutek zatarasowania wyjścia przez duży odłam skały — smok — który, gdy posłyszał zbliżające się kroki, począł błagać ludzkim głosem o litość i ratunek, obiecując za udzieloną pomoc odwdzięczyć się wybawcy serdecznie. Chłop zdjęty litością, w nadziei nagrody, zrzucił wiązkę z chrustem z plec na ziemię i sam pobiegł z siekierą do lasu, uciął silnego, dębowego drąga, wrócił z nim ku szczelinie i podważywszy silnie kamień owym drągiem, odwalił go na bok i smoka uwolnił. Ten skoro tylko wydostał się na wolność, odezwał się do chłopa: „Na podziękowanie za to, żeś mię od niechybnej śmierci wybawił, wywdzięczę ci się tak, jak cały dzisiejszy świat się odwdzięcza. Zjem cię“.

Przestraszony chłop w nogi, a smok za nim. Po drodze spotkał chłop wilka. Ten zapytał go, czemu tak ucieka, a gdy chłop opowiedział mu całe zajście ze smokiem, odezwał się do niego: „Nic ci chłopku na to nie poradzę, dzisiejszy świat w ten sposób się odwdzięcza“. Gdy wilk wymawiał ostatnie słowa, nadszedł sprytny lis. Ten wysłuchał z powagą żalącego się chłopa, pobiegł do smoka i powiedział mu, żeby wrócił się do swej pieczary, a chłopu kazał iść za sobą, gdyż on musi całą sprawę zbadać dokładnie na miejscu od początku. Skoro, smok wlazł do swej jamy, kazał chłopu przywalić go napowrót tym samym odłamkiem skalnym. Smok znalazł się znowu w pułapce. Teraz lis odezwał się do chłopa: „Ocaliłem ci życie, smok zatarasowany w swej jamie, nic ci już złego nie uczyni, lecz musisz mi chłopie powiedzieć, w jaki sposób teraz ty się mnie odwdzięczysz“. Na to chłop odrzekł: „Kochany lisie, odwdzięczę ci się stokrotnie tak, jak dzisiejszy świat się odwdzięcza. Zapraszam cię jutro na wesele do mego domu. Każę ci upiec najlepszą kurę i zabawisz się wesoło z gośćmi“. Na drugi dzień zjawił się lis według umowy na weselu. Gdy chłop zobaczył swego wybawcę, tak się nim ucieszył, że kazał mu wleźć pod stół i tam czekać na pieczoną kurę. Lis wlazł pod stół i czeka cierpliwie godzinę, dwie, a gdy wreszcie uprzykrzyło mu się już to czekanie, prosił chłopa, aby mu przyniósł obiecankę, bo musi odejść. Chłop, który już zapomniał o wyświadczonem sobie przez lisa dobrodziejstwie, złapał garnek z gorącą wodą i wylał go na lisa. Ten wcale tem nie zrażony, opuszczając domostwo, odezwał się do chłopa: „Twój postępek wcale mię nie gorszy, odwdzięczyłeś mi się bowiem tak, jak cały dzisiejszy świat się odwdzięcza“. Zniewagę jednak wyrządzoną wynagradza sobie lis po dziś dzień, kradnąc zawzięcie kury.

Piotr Wenc.

Zaklęta góra z rycerzami.

Legenda.

Szeroko pod Kalwarją Z. w przysiółku „Drabóż“ rozparła się góra, okryta tu i ówdzie ogołoconemi świerkami, dumnie stawiła swe czoło, a ma czego być dumna, bo istne cuda mieści w swej piersi kamiennej.

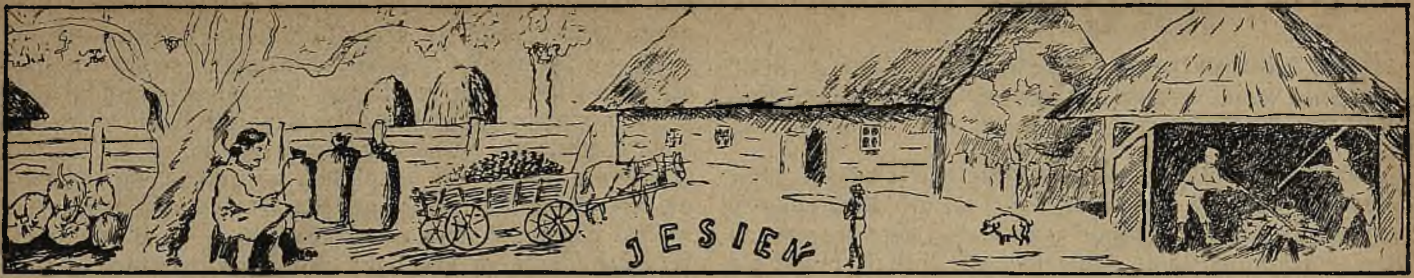
W jej wnętrzu świat istnieje oddzielny — świat zaklętych czarów. Rycerze waleczni, co padli w obronie swej Ojczyzny, znaleźli w niej drugie życie, życie-sen, z którego kiedyś zbudzeni będą do walki za świętą sprawę, i za rodzinny kraj.

Na rycerzach lśni zbroja, w ogniu hartowana, lecz jeszcze więcej blasku roztaczają skarby, któremi są otoczeni śpiący wojacy. Najbardziej świeci świątynia w pośrodku stojąca, zbudowana z samych djamentów. Wnętrze świątyni zdaje się płonąć od blasku, drogich kamieni i od światła siedmdziesięciu siedmiu gwiazd, które tam zastępują nasze ubogie świeczniki.

U wieży dzwon srebrny się zwiesza poruszany co siedm lat. Harmonijny jego dźwięk budzi drzemiących rycerzy. Wstają oni z cichym szmerem i wstępują w świątyni podwoje i przed Majestatem Boga głowy schylają pokornie i modlitwa błagalna ulatuje z tysiąca piersi. Wtem naraz milkną dzwony i naraz wszyscy znikają ze świątyni.

Dawniej o tych wszystkich cudach ludzie niewiedzieli i darmo w głowę zachodzili, skąd się wicher bierze. Aż tu przed stu laty, jeden pasterz został rzucony przez trąbę powietrzną do morza (morzem nazywają teraz ludzie staw, znajdujący się u podnóża góry); otóż ten pasterz wszystko to widział i opowiedział. Opowiadanie to powtarzają ludzie okoliczni, do których dochodzą czasem tony dzwonu, zniewalając ich do wspólnej modlitwy o lepszą dolę.

Stanisław Jucha.



Poradnik gospodarczy.

Sadzenie drzewek owocowych.

Najodpowiedniejszą porą sadzenia drzewek owocowych jest jesień, od października aż po nastanie mrozów. Drzewka sadzone w jesieni mniej wymagają podlewania, niż sadzone na wiosnę, gdyż ziemia przy nich nasiąknie wilgocią, ułoży się ściślej, a rany na korzeniach zabliźnią się przy wczesnem jesiennem sadzeniu tak, że na wiosnę odrazu będą silnie rosnąć.

Przed posadzeniem drzewka trzeba grunt dobrze znawozić, aby mu nie brakło w przyszłości pożywienia. Na nawożonym gruncie kopiemy dołek na 40 do 50 centymetrów głębokości, a 60 do 70 cm. szerokości. Przed samem sadzeniem na środku dołka usypujemy kopczyk, udeptując przytem nogami ziemię, a na kopczyku tem będziemy rozkładali korzenie drzewka. Po usypaniu kopczyka dobrze jest wbić w środek niego palik tej wysokości, aby nie dochodził do korony posadzonego drzewka. Palik ten jednak nie jest konieczny, gdyż drzewko, mające pień dostatecznie gruby, może się bez palika obejść.

Sadząc drzewko, należy je ustawić na udeptanym kopczyku tak, żeby tak zwana szyjka korzeniowa t. j. miejsce zetknięcia się części nadziemnych drzewa z podziemnemi wypadało równo z powierzchnią gruntu. Korzenie rozkłada się na kopczyku tak, aby każdy był skierowany w inną stronę i nie krzyżował się z innemi. Po rozłożeniu korzeni sypie się na nie drobną ziemię, potrząsając łopatą tak, żeby ziemia padała, jakby była przesiewana przez rafkę. Ziemię należy brać wierzchnią, bez korzeni i chwastów. W czasie sypania ziemi można poruszać drzewkiem, aby ziemia dostawała się między korzenie i nie było pomiędzy niemi miejsc niezapełnionych ziemią. O ile korzenie są gęściejsze, to ziemię wpychamy pomiędzy nie palcami lub ogładzonym palikiem, uważając, aby korzeni nie uszkodzić. Unoszenie drzewka ku górze i wpychanie go w ziemię z powrotem jest niewłaściwe. Obornika, choćby i najlepszego, nie należy sypać wprost na korzenie, może być dany, ale na warstwę przykrywającą korzenie, lecz w niewielkiej ilości. Dawanie nawozu na spód dołka jest również szkodliwe.

Po zasypaniu całego dołka ziemię wokoło drzewka należy silnie udeptać, trzymając jednocześnie drzewko, aby nie zostało zbyt głęboko w ziemię wciśnięte. Po udeptaniu zgarnia się wszystką pozostałą ziemię na drzewko tak, żeby utworzył się kopczyk na 30 do 40 cm. wysoki, udeptany i wygładzony łopatą. Ma to na celu zabezpieczenie korzeni od przemarznięcia ich podczas silniejszych mrozów zimowych.

Przed nadejściem większych mrozów dobrze jest pień drzewka owiązać słomą, trzciną, szuwarem, czy gałązkami drzew szpilkowych, aby zabezpieczyć je od przemarznięcia i ogryzania przez zające.

Na tem roboty z sadzeniem drzewek można uważać za skończone.

Niektórzy, mając sadzić drzewka, chcieliby je mieć jak największe, gdyż twierdzą, że prędzej doczekają się owocu. Jest to mniemanie błędne. Starsze drzewko przyjmuje się i rozrasta powolej, aniżeli drzewko młode tak, że młode we wzroście i w owocowaniu prześciguje drzewko starsze. Najodpowiedniejsze do sadzenia są więc drzewka 3 do 4-letnie, z koroną nie starszą, jak jednoroczna, mające pnie dość grube i korony u grusz i czereśni po 6 gałązek, zaś u jabłoni, wiśni i śliw po 5. Korzenie powinny być gęste, rozgałęzione, obfitujące w drobniutkie korzonki, na których po posadzeniu łatwo utworzą się tak zwane włośniki odżywiające drzewo.

Zbyteczne też jest staranie się o drzewka o zbyt wysokich pniach, t. zw. wysokopienne, mające pień dwumetrowej wysokości. Przy drzewkach o wysokich pniach wszystkie czynności są bardzo utrudnione. Wiatr z nich łatwiej owoc strąca, wymagają więc doskonałych osłon, łatwiej pochylają się od wiatru, niż drzewa o niższych pniach. Najlepsze są drzewa tak zwane pienne lub półpienne, to jest mające pień 140 do 150 cm. wysokości.

Do małych ogródków, uprawianych przeważnie ręcznie, bardzo dobre są drzewa krzaczaste, czy to szczepione na podkładach karłowych, czy też na zwykłych dziczkach. Stosuje się to zwłaszcza do odmian wcześnie i często owocujących. Drzewa karłowe mają przedewszystkiem tę zaletę, że nie zajmują zbyt wiele miejsca, a więc mogą być sadzone koło płotów, a nadto pomiędzy drzewami piennemi. Wadą ich jest, że żywot ich jest krótszy, aniżeli drzew piennych. Gdy się je więc sadzi między drzewami piennemi, to dotrwają one dotąd, póki drzewa pienne dostatecznie się nie rozrosną.

Tępienie moli.

Największym wrogiem naszej odzieży jest mól. Najlepszemi sposobami w walce z molami są: powietrze i światło. Larwy mola i jajeczka lubią cień i ciszę. Przed chowaniem na lato futer, ciepłych ubrań i t. p. należy je trzymać na słońcu conajmniej przez dzień jeden, wytrzepawszy je dokładnie. Pozbywszy się w ten sposób zarodków moli należy ubrania wieszać w szafach, chowając je uprzednio do worków z papieru, przesyconego dziegciem. Przy pakowaniu rzeczy w kufrach, należy je posypywać naftaliną lub kamforą albo przekładać je drukowanemi gazetami.

Pakując odzież do skrzyń cedrowych, można naftaliny nie używać, gdyż mole nie znoszą zapachu drzewa cedrowego.

Poddając ubranie działaniu ciepłoty o 50—55 stopni, można w zupełności wytępić znajdujące się w niem jajeczka i larwy moli.

KRONIKA.

Od Administracji. Do dzisiejszego numeru „Roli“ dołączamy czeki wszystkim kwartalnym naszym Prenumeratorom.

Budowa kolei Kraków-Miechów. Celem przyspieszenia budowy kolei Kraków-Miechów Rada miasta Krakowa uchwaliła odstąpić bezpłatnie swoje grunta pod budowę tej kolei tam, gdzie ta kolej będzie przez nie przebiegała.

Święto pracy w Sokolnikach. Gmina Sokolniki pod Lwowem urządziła w ubiegłym tygodniu „święto pracy“, które polegało na tem, że w jednym dniu wszyscy mieszkańcy wsi wyruszyli do pracy, aby budować bezinteresownie drogę. Wyjechało też 250 furmanek miejscowych. W czasie pracy do wsi przybył wojewoda lwowski, Dr. Rożniecki, który wyraził pracującym pochwałę. Święto pracy zostało zakończone wystawieniem krzyża pamiątkowego na drodze wjazdowej do gminy. Ochotnicza ta akcja gminy przyniosła ładny rezultat, gdyż w jednym dniu zbudowano 3 kilometry doskonałej drogi. Życzyćby sobie należało, aby za przykładem Sokolnik poszły i inne gminy, a wkrótce mielibyśmy doskonałe drogi w całej Polsce.

Odsłonięcie pomnika Franciszka Karpińskiego w Kołomyi. Wrażą ręką „hajdamackich herojów“ rozbity pomnik poety Franciszka Karpińskiego jeszcze za czasów „inwazji ukraińskiej“ w roku 1918, został obecnie odnowiony... Pomnik stanął na skwerze po drugiej stronie rynku Popiersie z gipsu wykonał znany artysta rzeźbiarz prof szk. drzew. p. Tracz, a odlew bronzowy wykonano w Pabjanicach. W dniu 13 września b. r. odbyła się piękna uroczystość odsłonięcia pomnika poety Franciszka Karpińskiego. W uroczystości wzięły udział tłumy publiczności, władze rządowe i autonomiczne, wojsko, szkoły wszelkich kategoryj wraz z gronami nauczycielskiemi, a nawet lud wiejski z okolicznych wsi polskich. Kilka przepięknych utworów muzycznych wykonała wspaniale orkiestra 49 p. p. W porywających słowach przemówił dyr. gimn. Boroń, podnosząc zasługi pierwszego i drugiego Komitetu i wspominając również, jak to przed 51 laty na akcie erekcyjnym figurowały obok polskich nazwisk także nazwiska ruskie, jak ś. p. ks. kan. Kobylańskiego, gr. kat. proboszcza w Kołomyi i śp. Włodzimierza Korzeniewicza, dyr. szkoły powsz., — ale byli to ludzie, nie wstydzący się przyznawać, że są „gente Ruthenus“ — natione Polonus“ — w przeciwstawieniu do dzisiejszych separatystów nieprzejednanych. Następny mowca prof. Bobin wygłosił przepiękną mowę na temat życia i rozbioru dzieł poety. Wtem spadła zasłona, a oczom przedstawił się prześliczny biust poety z bronzu. Muzyka zagrała hymn narodowy i kilka zwrotek „Kiedy ranne wstają zorze“. Wkrótce nastąpiło składanie wieńców młodzieży szkolnej, jak: szk. powsz. średnich, zawod. i handl. Zauważyć można było prócz wielu innych dwa oryginalne wieńce, a to: szkoły im. Piramowicza w kształcie liry, ubranej białemi kwiatami z szarfami o barwach narodowych z napisem: „Twórcy: Kiedy ranne wstają zorze“ — i drugi szk. im. Mickiewicza, zrobiony z kłosów pszenicznych, — nadto przepiękny wieniec szkoły handl. z napisem: „Poecie serca!“ Całą uroczystość zakończono wspaniałą defiladą przed pomnikiem poety. Przy dźwiękach orkierstry 49 p. p. defilowało wojsko, przysp. wojsk., skauci i tysiące młodzieży szkół powsz., średnich i zawodowych. Uroczystość wywarła niezapomniane wrażenie.

Zamach morderczy na naczelnika stacji. Na stacji kolejowej w Monasterzyskach dokonano zamachu morderczego. Do urzędu ruchu na tej stacji wszedł przeniesiony do Czortkowa, a ostatnio zredukowany robotnik kolejowy Birmajer i dokonał okropnego zamachu na naczelnika stacji asesora Bisza. Zamachowiec oddał najpierw do naczelnika Bisza strzał z rewolweru w głowę, a następnie, gdy rewolwer zaciął się, rzucił się na naczelnika i uderzył go rękojeścią po głowie. Po dokonanej zbrodni Birmajer zbiegł. Stan naczelnika Bisza jest bardzo ciężki. Policja zarządziła pościg za Birmajerem. W razie ujęcia go grozi mu sąd doraźny, który w tym wypadku byłby pierwszy w województwie stanisławowskiem.

Zamach na pociąg pod Rudkami. W ubiegłym tygodniu dokonano zamachu na pociąg osobowy na linji Lwów-Sambor, który udaremniony został jedynie dzięki czujności straży obchodowej. Tuż przed nadejściem pociągu osobowego, zdążającego ze Sambora do Lwowa, znalazł budnik na torze między stacjami Rudki a Komarno szynę kolejową, położoną w poprzek toru. Na szczęście szynę usunięto jeszcze przed nadejściem pociągu, wskutek czego nie doszło do katastrofy.

Morderstwo rabunkowe w Podwołoczyskach. W Podwołoczyskach mieszkał niejaki Srul Freiberg, zwany „Petlurą“, który liczył lat około 40. Był on wątłej budowy ciała i trudnił się handlem walutami, oraz pożyczaniem pieniędzy na procent. Sam żył niezwykle skromnie i ze względu na swoją uczciwość był w całej okolicy popularny i lubiany. Handlem walutami trudnił się od szeregu lat i jak najbliżsi znajomi jego twierdzili, posiadał kapitału kilka tysięcy dolarów, z czego większa część była ulokowana u dłużników, a resztę nosił zawsze przy sobie. Przed kilku dniami na przedmieściu Zadnieszówka wybuchł pożar, w czasie którego ogień pochłonął cztery domy i jedną stodołę. Na miejscu pożaru między tłumem znajdował się „Petlura“, który od tej chwili znikł. Gdy następnego dnia nie przyszedł do domu, wszczęto za nim poszukiwania, w czasie których doniesiono władzom bezpieczeństwa, że przy drodze prowadzącej do Skałatu pod gminą Nowosiółką znajduje się w ziemi zakopany trup. Na miejsce udała się natychmiast policja i tam znalazła zwłoki Srula Freiberga, zakopane w głębokości pół metra w przydrożnym rowie. Na powierzchni ziemi widać było tylko głowę, wygrzebaną przez lisy i całkowicie pogryzioną. Reszta zwłok, które znajdowały się w worku po szyję, były w stanie rozkładu. Komisja sądowo lekarska stwierdziła, że zbrodniarze jakiemś ostrem narzędziem przecięli ofierze rabunku gardło, tak mocno, że głowa trzymała się ledwie kręgosłupa, a następnie dokonali na zwłokach rabunku, poczem w nocy zwłoki wywieźli i zakopali. Po dokonaniu sekcji zwłoki zabrano do kostnicy w Podwołoczyskach. Dochodzenia policyjne są w dalszym toku.

Fabryka pieniędzy pod słomianą strzechą. W Bolesławiu, powiat olkuski, policja przeprowadziła szereg rewizyj mieszkaniowych i osobistych u osób podejrzanych o fabrykację i puszczanie w obieg fałszywych jedno i dwuzłotówek. W czasie rewizyj we wsi Bukowno znaleziono w warsztacie Franciszka Sośniarza 18 sztuk niewykończonych jeszcze jednozłotówek i formę gipsową do odlewania monet. U gospodarza Tomasza Czernika znaleziono sześć sztuk fałszywych jednozłotówek, formę gipsową i inne przyrządy. W związku z tem aresztowano czterech fałszerzy.

Krwawe dożynki. W majętności Białcz (powiat śmigielski) po dożynkach napadnięto i pokłuto ostrem narzędziem 28 letniego urzędnika gospodarskiego Maksymiljana Łysego. Rany były tak ciężkie, że Łysy wkrótce zmarł. Napadniętemu pospieszył z pomocą 46-letni robotnik sezonowy Piotr Wieśniakow, którego również

dotkliwie poraniono w głowę w okolicy ucha. Jako sprawców krwawego czynu ujęto 20 letniego Stanisława Chomskiego, 17-letniego Józefa Stachowiaka, 17-letniego Jana Józefowskiego, 20-letniego Władysława Cholupkę, 21-letniego Stanisława Zakrzewskiego, Jana Kokocińskiego i Franciszka Koniecznego. Aresztowano ich i odstawiono do więzienia w Śmiglu

Zabity przez byka. Robotnik Kuckowski, pracujący w Małym Klinczu, pow. kościerskiego, w chwili, gdy chciał odwiązać byka, został przez niego znienacka napadnięty, przyczem rozjuszone zwierzę przygniotło swoją ofiarę do ściany, przebiło mu klatkę piersiową oraz połamało nogi i ręce, tak, że obecnie walczy ze śmiercią.

Straszna śmierć w płomieniach. W Zelowie koło Łodzi wydarzyła się tragedja w rodzinie żydowskiej. Oto ojciec i matka idąc na nocne nabożeństwo t. zw. „selichos", ułożyli do snu czworo dzieci, z których najstarsze miało osiem lat. Od lampy stojącej na stole powstał pożar. Ponieważ było to w dzielnicy żydowskiej, gdzie wszyscy poszli na modlitwę, przeto na ratunek pospieszono dopiero wtedy, gdy płomienie zaczęły się przedostawać na zewnątrz domu. Wszelka akcja ratunkowa okazała się spóźniona. W izdebce znaleziono troje zwęglonych zwłok, przytulonych do siebie na łóżku. Najstarsza leżała zemdlona przy drzwiach.

Tajemnicze zniknięcie dziewczyny. Przed niedawnym czasem zaginęła w Warszawie 25-letnia Judyta Schriftgiser, z zawodu zecerka, zatrudniona w jednej z drukarń na Nowolipiu. Dziewczyna spędziła swój urlop w Suchodołach, skąd miała powrócić w zeszłym tygodniu. Tymczasem od kilku dni leży jej bagaż w przechowalni nad Wisłą, gdyż wracała ona statkiem. Sprawa wydawała się bardzo zagadkowa, wobec czego policja zawiadomiona przez zarząd przystani o przechowywanych bagażach, zarządziła ich rewizję. Okazało się, że bagaż należy do Judyty Schriftgiser, która wracała z urlopu na statku „Atlantik" w niedzielę 6 b. m. W drodze do Warszawy zaszła jakaś tajemnicza historja. Dziewczyna znikła ze statku, pozostały tylko jej rzeczy. Co się z nią stało, nikt nie wiedział. Podejrzenie o samobójstwo było nieprawdopodobne, gdyż Schriftgiserówna zachowywała się zupełnie spokojnie i nie zdradzała żadnych zamiarów samobójczych. Rozwiązanie zagadki nastąpiło dzięki niespodziewanemu odkryciu, dokonanemu przez posterunek policji pod Warszawą. Mianowicie fale Wisły wyrzuciły na brzeg zwłoki młodej kobiety, która przebywała w wodzie około tygodnia. Rysopis zgadzał się z wyglądem zaginionej Schriftgiserówny. Ujawnione sińce na zwłokach i inne ślady wykazały, że usiłowano na niej dokonać gwałtu. Okoliczność ta nasunęła przypuszczenie, że Schriftgiserówna została napadnięta na statku przez jakiegoś zbrodniarza, który nie dopiąwszy celu rzucił ją do wody, w obawie przed skargą napadniętej i aresztowaniem za napad.

Wykrycie zbrodni przez psy. W Łucku zaginęła przed około rokiem w tajemniczy sposób mieszkanka wsi Soltysiec, Anastazja Nikitiukowa, licząca lat 48. Wszelkie poszukiwania za zaginioną nie przyniosły rezultatu. Tymczasem mąż jej Jan Nikitiuk zaczął się starać o rękę jednej z córek bogatego gospodarza, z którą, jak fama niosła, łączyły go ścisłe stosunki jeszcze za życia żony. Traf zrządził, że sprawa zaginięcia Nikitiukowej wyjaśniła się. Mianowicie psy wygrzebały w ogrodzie Nikitiuka pod jednem z drzew dół głębokości pół metra. Przechodzący włościanie zauważyli na dnie dołu ludzkie kości. Zaalarmowana przybyła na miejsce cała wieś z łopatami, wydobyto z dołu cały szkielet kobiety i kawałki sukni. Zawiadomiona policja wszczęła dochodzenia, które doprowadziły do wyświetlenia zbrodni. Ustalono, że są to szczątki Nikitiukowej, która została zamordowana przez męża. Zbrodniarz następnie zakopał zwłoki w ogrodzie. Nikitiuk, wzięty w krzyżowy ogień pytań, przyznał się do zbrodni, oświadczając, że dokonał jej, by pozbyć się żony i ożenić się ze swoją obecną narzeczoną. Zbrodniarz został aresztowany i osadzony w więzieniu.

Książę w podartych butach. W wagonie kolejowym pociągu przemierzającego terytorjum austrjackie, aresztowano pewnego żebrzącego człowieka. Był w łachmanach, o kiju. Jak to żebrak. Gdy spytano go o nazwisko, wyprężył się i wyrecytował:

— Jestem książę Adolf von Habsburg!

— Warjat albo symulant — powiedziano.

Żądano od niego dowodu osobistego. Wyciągnął jakąś obszarpaną książeczkę. Był to dowód na nazwisko: „Adolf Slovacek".

— No, widzi pan — powiedział dobrotliwie sędzia, który skazał Slowacka na tydzień aresztu. — Widzi pan, jaki z pana książę Habsburg. Poprostu Slovacek, i koniec.

Ale młody książę w podartych butach nie dał za wygraną. W ciągu tygodnia, spędzonego w areszcie, spisał historję swego życia, z której jasno wynikało, że jest nietylko Habsburgiem, ale synem Franciszka Józefa. W cesarskiej kuchni dworskiej Franciszka Józefa była pomywaczką pewna dziewczyna, imieniem Józefa Slovacek. Niezbadane są drogi przeznaczenia. Cesarz spotkał kiedyś dziewczynę, spodobała mu się, a wkrótce potem przyszedł na świat mały Adolf. Józefa dostała od cesarza 50 tysięcy guldenów, poczem narzeczony jej przepuścił wszystko, a mały Adolf musiał iść w świat. Został kelnerem, dorobił się niezgorszego majątku, ale podczas przewrotu stracił wszystko. Wobec tego został żebrakiem. Cesarska krew nie przeszkadzała mu w tym zawodzie.

Woły-pływaki. Mieszkańcy gminy Lipot, w komisarjacie Mozony na Węgrzech, żyją przeważnie z wypasania wołów. We wsi swojej mało mają pól uprawnych, a mało także pastwisk. W połowie lata wszystkie pastwiska w gminie są już spasione, więc lipotcy włościanie posyłają swe trzody na należące do nich pastwiska w Czallökoz, po drugiej stronie wielkiej rzeki Dunaju.



Najbliższy most oddalony jest stamtąd o kilka mil, więc chłopi lipotcy wpędzają poprostu woły do wody i płynąc za niemi w czółnach, pędzą je na drugi brzeg, jak to widzimy na naszym obrazku.

Zafantowane dziecko. W Kiszyniowie w Besarabji zdarzył się osobliwy wypadek, stanowiący nowość w dziedzinie tak popularnych sekwestrów i egzekucyj płatniczych. Oto w mieszkaniu pewnego mieszkańca gminy Patrulca zjawił się egzekutor podatkowy, a nie znajdując żadnego wartościowego przedmiotu, który mo-

żnaby zająć, zasekwestrował w końcu 10 letniego synka niepunktualnego podatnika. Egzekutor zabrał dziecko ze sobą i oddał „pod dozór“ jednej z mieszkanek wsi, zakazując surowo oddania chłopca rodzicom bez jego zezwolenia.

50 miljonów dolarów w jaskini. Przed stu laty miasto greckie Janina należało do Turcji. Panem tego miasta był najbogatszy w całej ówczesnej Turcji Ali-Tepelen-Pasza, który niejednokrotnie wyręczał z kłopotów skarb państwa tureckiego i całe pokolenie sułtanów. W jednym z archiwów niedawno znaleziono dokumenty, które stwierdzają, iż pasza miljarder przed śmiercią kazał swym zaufanym sługom swe olbrzymie skarby w złocie, srebrze i drogocennych kamieniach schować tak, aby nigdy ludzie ich nie odnaleźli. Turecki miljarder sam wynalazł potajemną jaskinię w górach, sam sporządził plan wywozu wszystkich kosztowności i pod jego kierownictwem wszystko zakopano w górze wapiennej. Jeden ze sług, który dochował tajemnicy i nie zdradził nikomu miejsca znajdowania się skarbów, sporządził jednak plan miejscowości, gdzie zakopano skarby i oddał go do bibljoteki publicznej w Atenach. Obecnie rząd grecki, posiadając plan skarbca, rozpoczął poszukiwania. Ekspedycja archeologiczna pod ochroną żołnierzy pracuje od kilkunastu dni i zdążyła już dotrzeć do tego miejsca, gdzie w długim korytarzu zostali zamordowani robotnicy, którzy robili wykop. Skarby paszy tureckiego mogą zupełnie opanować kryzys ekonomiczny w Grecji, gdyż dane historyczne o bogactwach paszy dają możliwość przypuszczać, iż jego majątek w złocie stanowił około 50 miljonów dolarów.

Dramat w szpitalu warjatów. Straszny dramat rozegrał się w francuskiem mieście Poitiers w tamtejszym szpitalu Pasteura, w którym przebywają na kuracji także umysłowo chorzy. Dwie kobiety chore umysłowo zajmowały jeden pokój. Wieczorem nakładano im kaftany bezpieczeństwa i układano obok siebie do snu. Rewizja, przeprowadzona przez dozorcę w nocy, nie stwierdziła w pokoju chorych niczego anormalnego. Ale rano, gdy do pokoju obu chorych chciała wejść pielęgniarka, jedna z chorych wybiegła naprzeciw niej i zawołała, zagradzając jej drogę:

— Nie potrzeba wchodzić, zabiłam ją! Gdybyś była tutaj, byłabym cię również zabiła!

Dozorcy skrępowali furjatkę. Wtedy dopiero zdołano dostać się do pokoju. Znaleziono tam na łóżku drugą umyłowo chorą już martwą, ze śladami uduszenia na szyi. Śledztwo wykazało, że w ciągu nocy furjatka dostała ataku szału i zdołała dzięki nadludzkim wysiłkom uwolnić się z kaftanu bezpieczeństwa. Potem zadusiła swoją towarzyszkę, która nie mogła się bronić, ponieważ skrępowana była kaftanem. Dramat ten wywołał wielkie wrażenie. Ofiara, kobieta 32-letnia, przebywała w szpitalu już trzynaście lat. W oddziale „furjatek“ była dopiero od trzech lat, gdy choroba zaostrzyła się. Pochodziła z bardzo znanej rodziny w Poitiers.

Dziewięć godzin w zaświatach. W jeziorze, w okolicach Laurel Springs, w stanie Nowy Jork w Ameryce, utonął przed kilku dniami niejaki William Dugan. Wyłowiono go wprawdzie z wody w pięć minut po wypadku, ale wezwany lekarz stwierdził już tylko śmierć. Przed sporządzeniem aktu zejścia wypróbowano na nim wszystkie sposoby zalecane przez medycynę w tym wypadku, nie zaniedbano też zastrzyków kamfory i kofeiny. Wszystkie jednak zabiegi okazały się bezcelowe. Dopiero po 9-ciu godzinach, zupełnie samorzutnie serce „topielca“ zaczęło bić na nowo i Dugan zbudził się, jakgdyby z głębokiego snu. Pierwsze przebłyski świadomości przyniosły mu — jak mówił — przyjemne wrażenie, że buja w obłokach. Było mu tak dobrze, że chciałby, aby to rozkoszne wrażenie trwało jak najdłużej, usłyszawszy jednak głos matki, otworzył oczy. Dopiero widząc zalaną łzami twarz matki, przyszedł zupełnie do siebie i odzyskał poczucie rzeczywistości.

Męczennicy meksykańscy. Jedna z gazet wiedeńskich ogłasza szczegóły krwawego zamachu na kapłanów katolickich w kościele w Veracruz na podstawie opowiadań naocznego świadka. W sobotę 25 lipca, w kościele Wniębowzięcia N. M. P. odbywało się wieczorem zwykłe nabożeństwo z nauką i wykładem katechizmu dla dzieci. Kościół był przepełniony wiernymi i mnóstwem dzieci. W chwili, gdy nastąpiła w nabożeństwie przerwa i trzech kapłanów: Rafael Rosas, Alberto Landa i Dario Acosta znaleźli się przed ołtarzem, zpoza ołtarza wybiegło 8 ludzi najwidoczniej pijanych, z których jeden rozwinął arkusz z ohydnym rysunkiem Papieża na szubienicy, pozostali zaś poczęli strzelać z rewolwerów w stronę kapłanów, a następnie w stronę ludu. Trupem padli księża Landa i Acosta, jak również próbujący rozbroić bandytów młody Meksykańczyk Homero Broissin i jakaś zamodlona kobieta. Jednocześnie zgasło w kościele światło elektryczne, co wywołało wielki popłoch, w trakcie którego bandyci próbowali uciec przez zakrystję, którędy prawdopodobnie dostali się do kościoła. Tymczasem jedni z tych, którzy wydostali się z kościoła, próbowali zawiadomić policję i wojsko, drudzy puścili się w pogoń za bandytami. Jednego z nich zastrzelono, w drugim zaś postrzelonym, ku ogólnemu zdziwieniu rozpoznano... szefa policji w Veracruz. Niebawem zjawiło się wojsko, kościół opróżniło a ciała pomordowanych zabrało z sobą, by tejże nocy cichaczem je pochować. Bandycki ten zamach próbowano wytłumaczyć, jak zwykle w takich wypadkach, „wzburzeniem“ ludu z powodu jakiegoś zamachu na życie gubernatora Veracruz, Tejeda, znanego socjalisty i wroga Kościoła. W rzeczywistości w dniu tym Tejeda przed pałacem gubernatorskim strzelał się z jakimś Meksykańczykiem w obecności spokojnie przypatrującej się warty przez cały kwadrans, co chyba dla cokolwiek orjentującego się w stosunkach meksykańskich trudno nazwać „zamachem“ zwłaszcza ze strony katolików.

Otwarcie kolei transafrykańskiej. W Afryce dokonano otwarcia bezpośredniej komunikacji kolejowej między portami: Lobito na oceanie Atlantyckim i Beirą na oceanie Indyjskim. Doniosły ten fakt stał się możliwy, dzięki współpracy angielsko-belgijskiej przedłużono linję kolejową Beguela, przecinającą Angolę przez Kongo belgijskie, aż do wielkich pól miedzianych Katanjo. Tu w miejscowości, zwanej Tenke, łączy się nowa kolej z główną linją, idącą z południa, od Capetown'u na północ, zwana „Cape to Cairo Line“. Z okazji tego wielkiego zdarzenia, przypomnieć należy, że 75 lat temu podróż przez całą szerokość Afryki, którą obecnie odbyć będzie można szybko i wygodnie, przedsięwziął i dokonał w innych zgoła wyrunkach Dawid Livingstone, który był pierwszym pionierem tych nieznanych białemu człowiekowi krajów. Podróż ta trwała okrągło dwa lata. Śladami Livingstona poszli nieco później Cecil Rhodes i współpracownik jego Sir Williams, który odkrył bezmierne bogactwa mineralne środkowej Afryki i w 1900 r. otrzymał pierwszą koncesję na eksploatację miedzi w Katango. Penetracja w głąb lądu afrykańskiego jest dziełem angielskiej inicjatywy i wytrwałości. Odtąd będzie można przejechać wzdłuż całą Afrykę wygodnie w pociągu kolejowym.

RZECZY CIEKAWE.

Wyspa pereł i drogich kamieni.

Ceylon to nietylko kraina wiecznego słońca i gęstych dżungli, ale też kraj pereł i drogich kamieni. Cudzoziemcowi, spacerującemu po ulicach stolicy Ceylonu, Colombo, wpadnie w oko wielka ilość sklepów jubilerskich, wabiących niezliczonemi, świetnemi klejnotami. Wszystko to czeka na chętnych kupców, turystów o dobrze wypełnionych sakiewkach. Jednak przybysz musi się dobrze wytargować i nie dać się oszukać, gdyż kupcy, zwłaszcza podrzędniejsi, uliczni, czekają na naiwnych, a... bogatych.

Połów pereł odbywa się w sposób pierwotny, t. zn. przez nurkowanie bez używania kostjumów nurka. Nurek taki potrafi na dzień 40 razy się zanurzyć i wypłynąć z muszlami, zebranemi w koszyku, przywiązanym do bioder. Ale eksploatacja ławic perłowych jest regulowana przez władze angielskie, które posiadają monopol na ten przemysł i monopol ten dzierżawią prywatnym przedsiębiorcom.

Dziennie wolno tylko łowić przez 6 godzin. Krajowcy wyruszają na połów w łodziach, zabierając do każdego czółna 20 nurków, którzy nurkują na zmianę, żeby dozwolony czas należycie wykorzystać. — Strzał armatni jest hasłem rozpoczęcia połowu. — W tej chwili rzuca się w głębiny tłum krajowców w poszukiwaniu za cenną muszlą. Po skończonym połowie wysypuje się tysiące muszel na stosy i czeka się, aż małża zgnije. Następnie przeszukuje się wnętrza skorup, czy niema przypadkiem pereł.

Zwykle na 1000 muszel trafia się jedna perła. To też niekiedy niezbyt opłaca się przedsiębiorcom połów, zwłaszcza, że dwie trzecie złowionych muszel oddać muszą władzom angielskim.

Jeszcze inny przemysł kwitnie w Ceylonie, to obróbka szlachetnych i półszlachetnych kamieni, dość obficie tam spotykanych. Najczęściej znajdują białe, czerwone i niebieskie szafiry, fioletowe i żółte ametysty, kocie oka, topazy, rubiny i t. p.

Mimo pospolitości drogich kamieni co krok napotkać można w Colombo handlarzy, ofiarujących na sprzedaż fałszywe kamienie, zwykle farbowane szkło. Dlatego też poważni kupcy dodają do sprzedanego kamienia swoją kartę z adresem, co ma być rękojmią prawdziwości klejnotu. A jednak trzeba uważać, żeby wśród potoku wschodniej gadatliwości nie dać się okpić na cenie.

Stulecie rewolweru.

Sto lat temu jechał z Bostonu do Kalkutty niewielki amerykański statek. Na pokładzie tego pływającego pudła znajdował się 16-letni Samuel Colt, który spełniał na statku obowiązki chłopca okrętowego.

Wszelkie wolne od zajęć chwile spędzał Colt w kącie pokładu, gdzie założył sobie prawdziwy warsztat stolarski. Godzinami całemi pracował nad wyrzeźbieniem z drzewa modelu wielostrzałowego rewolweru. Koledzy, którzy dowiedzieli się o manji Colta — dokuczali mu, psuli wykończone już modele, przeszkadzali w pracy. Młody chłopak nie zniechęcał się jednak, pracował dalej ukradkiem w nocy, kiedy nikt kpinami nie mógł już przeszkodzić.

Kiedy po kilku długich tygodniach okręt zawitał do jakiegoś angielskiego portu, zabrał Colt swoje narzędzia i wykonane już modele i pojechał do Londynu, zgłaszając w urzędzie patentowym swój wynalazek. Po roku wykupił już i w Ameryce patent na „samostrzelający pistolet o kilku przedziałach na ładunki i tylko jednej lufie“.

17-letniemu Coltowi udało się wkrótce założyć „Towarzystko fabrykowania broni palnej“, które prosperowało przez kilka lat doskonale.

Później, gdy Colt, zajęty ulepszaniem swego wynalazku, mniej nieco zajmował się handlową stroną swego przedsiębiorstwa, podupadło ono znacznie i stanęło w przededniu ruiny.

Energiczny Colt, widząc co się święci, sam zlikwidował przedsiębiorstwo, przenosząc fabrykę do Hartford, swego rodzinnego miasta.

Nigdy może żaden wynalazek nie zyskał w tak krótkim czasie tak wielkiej popularności, jak mordercze narzędzie Colta. Twórca jego zarobił w ciągu 14 lat pięć miljonów dolarów, jego fabryki, powstające w coraz to innych miastach, stawały się wszędzie największymi zakładami przemysłowymi, śmiało można zaryzykować powiedzenie, że był on Fordem okresu, w którym żył.

Nie długo jednak cieszył się sławą i dobrobytem, ten w 17-tym roku życia znany powszechnie wynalazca, 10 stycznia 1862 umarł w swojem rodzinnem mieście Hartfort, mając zaledwie 48 lat.

Nowy dokument historyczny o Chrystusie.

W londyńskiem „British Muzeum“ odkryto niedawno list cesarza rzymskiego Klaudjusza, (41—54 r. po narodzeniu Chrystusa). O liście tym mówił niedawno w akademji paryskiej historyk francuski Fryderyk Reinach, że był on wystosowany do mieszkańców Aleksandrji w Egipcie, w pierwszym roku panowania Klaudjusza, a zatem w 41 r. po przyjściu Chrystusa. Cesarz wzywa żydów, przebywających w tem mieście, aby poniechali ustawicznych, nieszczęsnych, wzajemnych sporów i utarczek, a wkońcu zakazuje im „rozpowszechniania duchowej zarazy, grożącej zakażeniem całemu cywilizowanemu światu“. — Pisząc te słowa, cesarz Klaudjusz miał na myśli szerzącą się wśród żydów naukę Chrystusa. Pisarz rzymski Swetonjusz (rok 75—100 po Chrystusie) w napisanej przez siebie biografji Klaudjusza mówi, że cesarz Klaudjusz wypędził z Rzymu żydów, wywołujących ustawiczne powstania pod wpływem nauki „niejakiego Chrystusa“.

Najmniejsze państwo.

Powszechnie uchodzą za najmniejsze państewka w Europie: rzeczpospolita San Marino i Andora, oraz Monako. Tymczasem istnieje jeszcze mniejsze państewko, mianowicie wyspa Vavolara, leżąca na Morzu Śródziemnem, w odległości o 12 klm od Sardynji. Wyspa ta, długości zaledwie 2 klm i posiadająca 55 mieszkańców uzyskała samodzielność w r. 1836, jako własność rodziny Bartolionich. Do r. 1882 panował na niej Paweł I Bartolioni jako król. Po jego jednak śmierci mieszkańcy proklamowali rzeczpospolitą.

Odkąd datuje się zwyczaj golenia twarzy.

Zwyczaj golenia twarzy znany już był w Egipcie starożytnym, gdzie zarost golili kapłani, a kasta wojowników nosiła wąskie krótkie bródki, często zresztą przyprawione.

Rzymianie nosili zarost do III wieku przed Nar. Chr. Później, wraz z osiedleniem się w stolicy fryzjerów i golarzy, przybyłych z Sycylji, przyjął się powszechnie w Rzymie zwyczaj golenia zarostu.

Najsłodsze drzewo na świecie.

Najsłodszem drzewem na świecie można nazwać to drzewo, z którego otrzymujemy czekoladę. Drzewo to rodzi owoce trzy lub cztery razy do roku i daje plon przez lat około pięćdziesiąt. Drzewo kakaowe należy jednak do flory „kapryśnej“ i wymaga umiejętnej opieki. Przedewszystkiem nie znosi zbyt intensywnych promieni słonecznych. Wobec tego plantacje osadza się wysokopiennemi drzewami „koralowemi“, których gęste korony odgrywają rolę parasolek, roztaczają pożądany cień. Ponadto należy drzewo chronić przed licznymi amatorami jego owoców, zwłaszcza przed żarłocznymi ślimakami, termitami i wielu innymi szkodnikami. Niemniej konieczne jest obfite nawadnianie gruntu. W stanie dojrzałości owoce kakaowe, zwieszające z pnia mają wygląd grubych czerwono-żółtych ogórków, o szpiczastych końcach.

We właściwym czasie zjawiają się rzesze robotników, uzbrojonych w długie drągi z nasadzonemi na nich ostremi nożami i ścinają „ogórki“ z drzew. Bardzo ważnem jest dokonanie zbioru we właściwym momencie, gdyż owoc, po przekroczeniu pewnego stadjum dojrzałości, zatraca swój charakerystyczny, delikatny aromat. Ułożone na matach bambusowych owoce, podlegają przedwstępnej, lekkiej fermentacji, która w dalszym ciągu odbywa się w „fermentowni“, gdzie pozbyte mięsnej powłoki ziarna, układane są w cienkich warstwach. Wskutek działania ciepła słonecznego, lub sztucznego, biały początkowo kolor ziarna, zamienia się w barwę ceglastą. W tym stanie owoc drzewa kakaowego dostaje się do fabryki czekolady. Tutaj przechodząc cały szereg procesów fabrykacji ziarno kakaowe zamienia się powoli w gęstą, wonną masę, stanowiącą „materjał surowy“ dla wyrobów czekoladowych. Zaprawa tej masy różnymi korzeniami stanowi już tajemnicę poszczególnych wytwórni czekoladowych. W większości północnych krajów europejskich fabrykację czekolady zapoczątkowano w połowie osiemnastego wieku, przyczem musiano zwalczać wielkie trudności, gdyż niełatwo było o ludzi, znających się na fabrykacji „succolady“. Siły fachowe trzeba było sprowadzać z dalekiej zagranicy, ponieważ wówczas tylko Hiszpanie, Portugalczycy i Włosi posiadali tajemnicę przerabiania ziarn kakaowych na czekoladę.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Pp.: **Franciszek J. Tryszczyła** w K.: Dziękujemy; w numerze; **Marja Waller** w Rz.: Artykuł w numerze, jako wstępny, „Zgrzyty“ damy w jednym z najbliższych numerów. Jest to obrazek tak prawdziwy, że do niego nic dodać, ani zeń ująć nie można. Ci, którzy tak bezmyślnie redukują, nie odczuwają może nawet, ile stwarzają tragedji na świecie. Niestety, nie myślą oni o nędzy ludzkiej, gdyż im jest dobrze na świecie. **Stanisław Jucha** w K.: W miarę miejsca zamieścimy. **Józef Foryś**: „Babskie lato“ zamieścimy jako prozę rymowaną, „Odlot bocianów“ za długi dla „Roli“. **Władysław Furmanek** w R.: Wierszyk pomimo pewnych zalet, ma również i duże braki, przeto nie nadaje się jeszcze do druku. **Stanisław Golachowski** w Ł.: Wierszyk ów dlatego nie został jeszcze zamieszczony, bo nie było nań miejsca. Obecnie nadesłane wierszyki za słabe do druku. **Jan Fudali** w M.: Z nadesłanych drobiazgów nie skorzystamy. **Janek z Jodłowy:** Wierszyki nie nadają się jeszcze do druku. **Karol Kapusta** w M.: Za słowa uznania i miłą obietnicę serdecznie dziękujemy. Gdyby każdy z naszych przyjaciół zjednał choć jednego prenumeratora, „Rola“ mogłaby jeszcze ładniej wyglądać. Cześć! **Br. J. Wilk** w D.: Dobre, dziękujemy. **J. Blacha** w St.: Jedno i drugie załatwione.

Zagadki do nagrody.

1. Konikówka.

(Ułożył Leopold Wołek z Rz.).

go	mu	dziej	nią	tem
bar	gar	róż	je	że
przyj	pie	pi	mą	ni
a głu	naj	dzi	mą	ra
głu	dry	dę	się	dry
		od		

Ruchem konika szachowego odczytać złotą myśl K. Różyckiego.

2. Szarady.

I.

(Ułożył Piotr Wenc z Ś.).

Pierwsza z drugą to nazwa miasteczka sła-[wnego,
Nie raz, nie dwa w biblji wypominanego,
Pierwsza z trzecią znów szata liturgiczna [znana,
Wczas nieszporów, pogrzebów, ślubów u-[żywana,
Trzecia z pierwszą potrzebna znowu han-[dlarzowi.
Całość to sprzęt, potrzebny bywa człowie-[kowi.

II.

(Ułożył Józef Góreaki z K.).

Pierwsze drugie to opieka,
Na zabawie drugie trzecie,
Koło ciebie stoi przecie.
Całość schronienie człowieka.

3. Kalambury.

(Ułożył Józef Górecki z K.).

I.

Albo ją masz gdy cię noga boli,
Albo go znajdziesz w tygodniku „Roli“.

II.

Do pisania służy, ma także owady,
Wszystko ludzie używają ale nie bez wady.

4. Logogryf.

(Ułożył Wincenty Kula z M. K.).

■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Rzeka w Azji.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Półwysep Ameryce Poł.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Najwyż. szczyt Kaukazu
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Imię męskie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Kraj w Europie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Dopływ Bugu.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Bohaterka żydowska.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Gwiazda.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Faraon egipski.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Wyspa na Bałtyku.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Roślina.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Miasto w Szwajcarji.

Litery zamiast kwadracików czytane z góry na dół dadza imię i nazwisko polskiego przyrodnika.

Za dobre rozwiązanie powyższych zagadek przeznaczamy dwie książki do rozlosowania.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 2 października b. r.

Znaczenie zagadek z Nru 37 „Roli“: 1. Konikówka: Prawdziwe bogactwo, to ziemia. 2. Szarady: I. Cyrylika. II. Praktyka. III. Konik zwierzyniecki. 3. Bilet wizytowy: Złodziej kieszonkowy. 4. Kwadrat magiczny: Radom-Ameba-Denar-Obawa-Marat.

W oznaczonym czasie rozwiązanie wszystkich zagadek nadesłali pp.: Krystyna Górecka z K., Józef Górecki z K., Stanisław Obara z T., Teofil Burman z K., Michał Kozik z M., Jan Stawarski z H., Karolina Stypówna z U., Ks. Karol Michalski z Z., Dr Michał Ożegalski z J., Stefan Pluta z U., Kazimierz Mędrala z J., Kamil Zadębski z O.

Nagrody wylosowali pp.: Karolina Stypówna z U. i Stefan Pluta z U.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni „Czasu“ w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Życie jak w niebie.

Pytano się pewnego razu człowieka, żyjącego w niedostatku i ubóstwie — jak jest u niego w domu?

— O! u mnie zupełnie jak w niebie!

— Jakim to sposobem? — rzekł pierwszy.

— Nic nie jemy, nie pijemy — odpowiedział biedak.

Dwuznacznik.

Parobek: Panie rządca, w oborze czeka handlarz, który chce zobaczyć wołu.

Rządca: Powiedz mu, że ja zaraz przyjdę.

Dobra rada.

Sędzia: — A więc obecnie nie możesz pan zaspokoić wierzycieli?

Oskarżony: — Nie mogę.

Sędzia: — To powiedzże mi przynajmniej, co ja mam z nimi robić, nie dają mi chwili spokoju.

Oskarżony: — Panie sędzio: zrób pan z nimi to, co i ja — powyrzucaj ich za drzwi!

Giełda płodów rolniczych

z dnia 22 września b. r.

Pszenica	22·50—23·00	Słoma długa	6·00—6·50
Żyto .	22·50—23·00	Ziemniaki stoł.	4·50—5·00
Owies . .	21·50—22·00	Koniczyna nasienn. czer.	000·00—000·00
Jęczmień .	19·00—20·00		
Fasola biała	32·00—34·00	Mąka żytnia	37·50—38·00
Groch zwyk.	27·00—29·00	Mąka pszen.	42·00—43·00
Siano słodk.	11·00—12·00	Otręby pszen.	11·00—12·50
Łubin żółty	00·00—00·00	Otręby żytnie	12·50—13·00
Koniczpastew.	15·00—16·00	Mąka czerw.	17·00—18·00

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy

w dniu 22 września b. r.

Płacono za jeden kilogram żywej wagi I. klasy:

Buhaje .	od 0·95 do 1·06 zł.	Jałownik	od 0·90 do 1·02 zł.
Woły . .	od 1·03 do 1·12 zł.	Cielęta .	od 1·15 do 1·25 zł.
Krowy .	od 0·80 do 0·89 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogaciznę	1·60 do 1·80 zł.	Nierogaciznę białej wagi	od 2·20 do 2.35







Za zmianę adresu należy się 40 groszy.

Zaległe numera „Roli" od Nowego Roku posiadamy w zapasie.